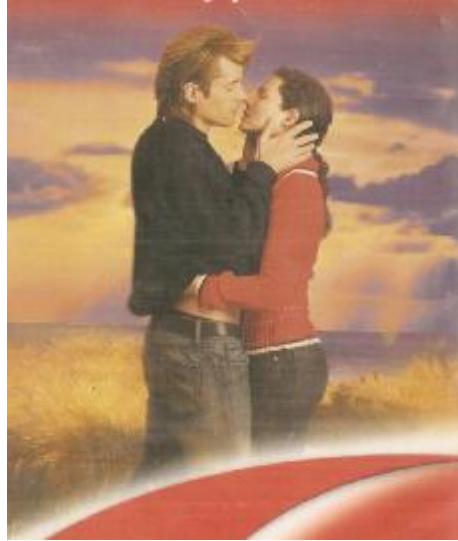




Dixie Browning



Skradzione miliony

Tytuł oryginału *Social Graces*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Val Bonnard zastygła w bezruchu przed uchyloną szafą w swej sypialni, z parą chanelowskich szpilek w ręku i czarną sukienką od Donny Karan przewieszoną przez ramię. Nasłuchiwała, czy niepokojący odgłos się jeszcze powtórzy. Zadrżała od chłodu i rzuciła szybkie spojrzenie na okno. Była silna wichura, więc może to tylko gałąź szorowała o okap dachu. Bo cóż by innego? Była sama w domu, więc wołała sobie nic więcej nie wyobrażać.

Z trudem przełknęła ślinę i wbiła wzrok w drzwi szafy. Uchyliły się, bo w całym domu wszystko było krzywe. Wszystkie drzwi otwierały się nieproszone, a przez szpary w wypaczonych futrynach okiennych przenikało chłodne powietrze. Temperatura na zewnątrz dochodziła do dziesięciu stopni, więc wcale nie było tak zimno jak na środek stycznia w Karolinie, ale z powodu wiatru i wilgoci wydawało się, że jest o wiele zimniej.

I z powodu samotności.

Val nadal stała w bezruchu, gdy nagle ujrzała mysz, która spojrzała na nią, poruszyła uszkami, po czym spokojnie podreptała wzdłuż ściany do maleńkiej dziury w kącie pokoju.

To była owa kropla, która przepełniła czarę goryczy. Ból, złość i bezradność przytłoczyły ją zupełnie. Rzuciła się na wyboiste żelazne łóżko i wybuchnęła płaczem.

W kilka minut później, pociągając nosem, zaczęła gmerać w kieszeni skórzanych spodni w poszukiwaniu chusteczki. Jak gdyby kieszenie ozdobione rozmigotanymi sztucznymi diamencikami mogły zawierać coś tak praktycznego.

Pociągając nosem, Val doszła do wniosku, że jej plan nie wypalił. A czegoż niby się spodziewała? Łudziła się, że po dwóch dniach jazdy do staroświeckiego, zapomnianego domu na zapomnianej wyspie ucieknie od dziwnych telefonów i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zamieni bolesne przeżycia na nowe perspektywy życiowe? Że nad jej głową nagle zapali się lampka i natychmiast się wyjaśni, kto jest odpowiedzialny za upadek firmy konsultingowej Bonnard Financial Consultants, hańbę ojca, jego aresztowanie i przedwczesną śmierć.

Czas i odległość pozwalają nabrać dystansu. Gdzieś to przeczytała, zapewne na jakiejś pocztówce. Minęło ponad dwa i pół miesiąca. Czas nie pomógł. Co do odległości, uciekła najdalej, jak mogła, do jedyne miejsce, jakie jej pozostało. Zabrała tu wszystkie rzeczy, które udało jej się zapakować do świeżo nabytego, taniego, pożerającego mnóstwo benzyny używanego samochodu, i wylądowała w wiosce, w której nie było nawet jednych świateł ulicznych. Udało jej się przynajmniej uciec od tych irytujących telefonów, bo w domu nie działał żaden aparat, a jej komórka nie miała zasięgu. Na wyspie nie było również pralni, a połowa jej garderoby wymagała prania na sucho.

– Może z tego powodu też się rozbeczysz, mięczaku? – mruknęła do siebie.

Myślenie o przyziemnych sprawach pomagało odpędzić inne myśli – te, które doprowadzały ją na skraj rozpacz.

Po śmierci ojca musiała zająć się jego sprawami i rozdysponować rzeczy z domu w stylu Tudorów, który przez wiele lat był jej domem rodzinnym. Choć doznała wstrząsu, dowiedziawszy się, że dom jest obciążony hipoteką, odczuła ulgę, gdy bank położył na nim łapę.

Reszta potoczyła się szybko – trzeba było pozbyć się gratów. Belinda i Charlie bardzo jej pomogli, zanim przenieśli się do nowego domu, w którym się zatrudnili. Wylały z Belindą wiele łez i nawet stoicki stary Charlie miał parę razy zaczerwienione oczy.

W końcu przywiozła ze sobą na południe jedynie bagaż podręczny, trzy torby z ciuchami i trzy pudła po bananach – jedno z osobistymi pamiątkami, drugie z pościelą, trzecie z dokumentami z gabinetu ojca.

Gdy wędrowała myślą wstecz, wszystkie wydarzenia ostatnich jedenastu tygodni wydawały jej się nierealne w dosłownym znaczeniu tego słowa. Tamtego dnia w ogromnej lodówce z nierdzewnej stali chłodziła się butelka Moët Chandon wyjątkowego rocznika, czekając na jej przyjęcie urodzinowe. Ojciec kupił ją na dzień przed aresztowaniem.

– Belinda ma przygotować wszystkie twoje ulubione potrawy – powiedział poprzedniego wieczoru. Wyglądał wyjątkowo radośnie. Na jego twarzy rysowały się te same cienie i zmarszczki co zwykle, ale przynajmniej był mniej blady.

Pytała go parokrotnie, czy ma jakieś poważniejsze zmartwienia. Za każdym razem zbywał ją żartem.

– Akcje spadają – rzucił ostatnim razem. – Ale poziom cholesterolu także – dodał z uśmiechem. – Nie można mieć wszystkiego, nieprawdaż?

Wyrzucała mu, że spędza zbyt dużo czasu w biurze, i z ulgą przyjęła obietnicę, że ojciec postara się więcej przebywać w domu, choć wiedziała, że wówczas będzie głównie siedział w swoim gabinecie, czytając „Forbes” albo „Wall Street Journal”.

Na urodziny zażyczyła sobie kolację w domu z ojcem zamiast corocznej imprezy w klubie. Zamierzała rozmiękczyć go szampanem i dowiedzieć się, co tak naprawdę go gnębi. Jednak wczesnym rankiem w

dzień jej trzydziestych urodzin przyszło po ojca dwóch panów, którzy okazali się policjantami.

Ujrzała ich, stojąc na szczycie schodów bosy i w samej koszuli nocnej. Zbiegła szybko na dół, dopytując się, o co chodzi.

– Musimy tylko zadać panu parę pytań – oświadczył oschle jeden z przybyłych.

Ale na pewno nie chodziło tylko o parę pytań, bo ojciec był blady jak ściana. Przerazona, najpierw zadzwoniła do jego lekarza, potem do adwokata.

Następnych kilka godzin przeleciało jak w kalejdoskopie. Nie pamiętała nawet, kiedy się ubrała. Na pewno nie wzięła prysznic ani nie zawracała sobie głowy układaniem włosów, tylko jak burza wypadła z domu. Belinda zawołała za nią, żeby zabrała na posterunek lekarstwa ojca, więc zawróciła biegiem i porwała je z ręki gospodyni.

Mieli tylko kilka minut na rozmowę w cztery oczy, gdy policjant, który pilnował ojca, wyszedł, by przynieść mu szklankę wody. Mówiąc cicho, jakby bał się, by go nie podsłuchano, Frank Bonnard powiedział, by zabrała z jego gabinetu wszystkie nieoznakowane teczki z dokumentami i ukryła je w swej sypialni.

Zmieszana i przestraszona, chciała wypytać go, o co chodzi, ale policjant właśnie wrócił. Ojciec popił pigułki i powiedział:

– Jedź do domu. Wrócę, jak tylko załatwię wszystko, co trzeba.

Wtedy po raz ostatni widziała go żywego. Nim zdążył wyjść za kaucją, zmarł na skutek zakrzepicy tętnicy.

Teraz, odrywając kawałek papierowego ręcznika z rolki stojącej na starej dębowej komodzie, Val wydmuchwała nos, wytarła oczy i westchnęła.

Za dużo ostatnio płakała. I tym razem szlochała tak rozpaczliwie, jakby zabrakło jej tlenu.

A tak naprawdę zabrakło jej odpowiedzi. Teraz, gdy było już za późno, by cokolwiek zmienić, zastanawiała się, czy popełniła błąd, opuszczając Greenwich. Mogła przecież wynająć tam pokój, a nawet mieszkanie. Jeśli istniały jakieś odpowiedzi, które można było znaleźć, na pewno nie czekały na nią w tej dziurze, do której ojciec zawitał tylko raz w życiu.

Jednak rewidenci, funkcjonariusze z działu do spraw przestępstw finansowych oraz innych urzędów państwowych zaangażowanych w tę sprawę i tak już uznali, że dorwali właściwego człowieka – mieli kozła ofiarnego, choć dokonali jeszcze jakiegoś innego mało znaczącego aresztowania. Nawet gdyby udało jej się udowodnić, że ojciec był niewinny, nie mogła już go odzyskać. Mogła jedynie postarać się przywrócić mu dobre imię.

Blask zachodzącego słońca przefiltrowany przez stare, omszałe gałęzie dębów zasnuł zakurzone szyby okienne tak, że nic nie było przez nie widać. Wyspa tak bardzo się zmieniła od czasu, gdy widziała ten stary dom po raz ostatni, że nigdy by tu nie trafiła bez dokładnych wskazówek pracownicy agencji nieruchomości:

Tydzień wcześniej zatelefonowała do tej właśnie agencji, zarządzającej nieruchomością, którą odziedziczyła po prababce, Achsah Dozier. Kilka godzin temu, podążając za wskazówkami agentki, zlokalizowała agencję Seaview Realty. Chociaż biuro było niewiele większe od szafy ściennej, kobieta za biurkiem, obłożona broszurkami, pudełkami ciastek i jakimiś formularzami wyglądającymi na zeznania podatkowe, była przyjazna, choć nieco znużona.

– Marion Kuvarky – powiedziała, skinąwszy głową w stronę identyfikatora stojącego na jej biurku. – Cieszę się, że zdążyła pani przed zamknięciem biura – powiedziała, biorąc do ręki pęk kluczy. – Ale muszę panią uprzedzić: od kiedy ostatni najemcy się wyprowadzili, jeszcze nie udało mi się znaleźć nikogo, kto doprowadziłby to miejsce do porządku i stanu całkowitej używalności. Może będzie pani wolała na początek zatrzymać się na kilka dni w motelu?

Val zaszła już zbyt daleko, by zwlekać choćby chwilę dłużej. Zresztą, nie było jej stać na motel. Nawet w środku zimy ceny w kurorcie były na tyle wysokie, że poważnie nadszarpnęłyby jej skromny budżet.

– Brud mnie nie przeraża, proszę mi tylko powiedzieć, jak trafić do mego domu – powiedziała Val, która bez trudu radziła sobie z utrzymaniem porządku w trzypokojowym mieszkaniu, zanim przeprowadziła się z powrotem do rodzinnego Connecticut.

Pani Kuvarky, młoda blondynka o zmęczonych oczach i ujmującym uśmiechu, powiedziała:

– Dobrze, ale proszę nie mówić, że pani nie ostrzegałam. Jadąc stąd, trzeba najpierw skręcić w lewo, a potem jechać drogą Na Uboczu.

– Jak się nazywa?

– Co?

– Ta droga.

– Na Uboczu. Tak się właśnie nazywa. Włączyłam prąd zaraz po pani telefonie. Nie pamiętam, czy już o tym wspominałam, ale ostatni lokatorzy opuścili dom, nie uiszczając zapłaty za dwa miesiące. Byłabym przygotowała dom do ponownego wynajmu, ale najpierw muszę zatrudnić kogoś do paru drobnych napraw. Jak już mówiłam przez telefon, sprzątaczką jest na urlopie macierzyńskim. Mówi, że wkrótce wróci, ale wie pani, jak to

jest. Ja próbuję teraz jakoś przetrwać martwy sezon. W ostatni weekend sama wysprzątałam dwa domy.

Val była zbyt zmęczona, by dać się wciągnąć w problemy agentki. Jej żołądek źle zniósł podróż, bo przez całą drogę pojadała jakieś świństwa, bardziej z nerwów niż głodu.

– Przywiozłam pościel. Mówiła pani, że dom jest umeblowany i wyposażony w niezbędne rzeczy –przypomniała Val.

Agentka skinęła głową.

– Tak, ale jest tam taka zbieranina. Pisałam do pani ojca w sprawie napraw – na to są potrzebne osobne fundusze – ale nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Tak czy siak, tyle się ostatnio tutaj buduje, nawet poza sezonem, że trudno o dobrych pracowników.

Agentka obiecała, że się za kimś rozejrzy. Val pomyślała wtedy, że skoro dom ma dach i łóżko, reszta może poczekać. Teraz nie była tego taka pewna. Gdy stała w drzwiach, zastanawiając się, jak trafi na miejsce w tej wsi pozbawionej miejskich ulic i skwerów, agentka rzuciła na pożegnanie:

– A tak na marginesie: gdyby szukała pani pracy i potrafiła odróżnić jeden koniec szczotki od drugiego, proszę się do mnie zgłosić.

Oczywiście to miał być żart. Być może jednak trzeba będzie potraktować tę propozycję poważnie, pomyślała sobie teraz Val. Jednak na razie są inne sprawy do załatwienia. Przede wszystkim należy pozbyć się współmieszkanki, myszy.

Kontakty działały i już samo to było pokrzepiające. Niestety nie było telefonu. A może na szczęście. Zanim opuściła Greenwich, parę napastliwych telefonów odebrała mimo zastrzeżenia numeru, ale bez wątplenia nie groziło jej to w miejscu, gdzie nie działał żaden aparat.

W domu nie było centralnego ogrzewania, a jedynie piecyk olejowy w salonie oraz parę małych grzejników w różnych pokojach. Jakoś udało jej się włączyć piecyk. Gdy po dłuższym czasie nie wybuchł, uznała, że nacisnęła właściwy guzik.

Gorzej było z bojlerem. Odkręciła kran z ciepłą wodą i przez pięć minut na próżno czekała na efekt. Wtedy właśnie odkryła, że jej komórka nie działa. Próbowwała zadzwonić do pani Kuvarky, ale nie miała sygnału.

Postanowiła porównywać siebie z pierwszymi osadnikami. Mogła przynajmniej spać w łóżku, a nie na wozie pośrodku prairii. Miała trzydzieści lat, dyplom świetnej uczelni i choć właśnie znajdowała się w nieoczekiwanej trudnej sytuacji, mogła pocieszać się tym, że zazwyczaj szybko się uczyła przewyższać wszelkie trudności. Jednak naprawa kluczowych urządzeń domowych może nadwerężyć jej wiarę w siebie. Wcześniej czy później – prawdopodobnie wcześniej – będzie musiała poszukać dobrze płatnego zajęcia i nająć kogoś do prac, których nie potrafi wykonać sama.

Na pewno jednak mogła posprzątać swój dom. A później zabrać się do przeglądania dokumentów ojca i odszukać dowody, które pozwolą adwokatowi wszcząć na nowo proces i oczyścić pośmiertnie imię Franka Bonnarda.

Coś przecież musi być w tych teczkach. W przeciwnym razie ojciec nie wydałby jej pośpiesznie polecenia, by ukryła dokumenty. Nie wiedział przecież, że umrze w parę godzin po aresztowaniu.

Val była rozgoryczona i smutna, ale wiedziała, że bierność nie rozwiąże jej problemów – ani tych, które pozostawiła za sobą, ani tych, które miała tutaj.

Wstała z łóżka, podeszła do kąta i kopnęła w listwę przy podłodze.

– Dobra, Miki, koniec zabawy – powiedziała ze złością. – Nie jestem skłonna do wyrozumiałości, więc pakuj manatki i wynocha.

Dom odziedziczony po prababce nie mógł się równać z tym, który opuściła. Od czasu gdy była tu ostatnio, dokonano częściowej modernizacji, ale biała farba łuszczyła się ze ścian, a kilka spłowiałych zielonych okiennic dyndało na pojedynczych zawiasach.

Przynajmniej frontowe obramowanie okapu dachu w kształcie pierniczków pozostało nietknięte. Gdy była dziewczynką, urzekła ją ta ozdoba, zwłaszcza że prababcia tego właśnie dnia upiekła pierniczki i ich korzenny zapach powitał ją w progu.

Marion Kuvarky wspomniała, że kilka lat przed śmiercią Achsah Dozier kazała przerobić część tylnej werandy na dodatkowy pokój z prowizoryczną łazienką i osobnym wejściem, w razie gdyby potrzebowała mieszkającej na miejscu służącej. Po jej śmierci pokój był czasem wynajmowany jako osobna część domu.

Po krótkim namyśle Val doszła do wniosku, że nie nadaje się na gospodynię. Z drugiej jednak strony, potencjalne dochody z wynajmu domu były nie do pogardzenia.

Porzuciła buty i sukienkę, które cały czas kurczowo ścisnęła w rękach, i ruszyła na dół w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby jej w sprzątaniu. Zanim położy się spać w tym pokoju, musi przecież pozbyć się tego mysio–pleśniowego smrodku. Może wywietrzy pokój albo umyje podłogę. Nie, na wietrzenie było zdecydowanie za zimno.

Pomyślała sobie, że gdyby pani Kuvarky wiedziała, jak słabo Val zna się na sprawach związanych z prowadzeniem domu, nawet żartem nie zaproponowałaby jej pracy przy sprzątaniu.

Wieczorem Val wyszła z pokrytej smugami rdzy, stojącej na lwich łapach wanny na piętrze i stanęła na ręczniku z monogramem. Przy pakowaniu nie zawracała sobie głowy takimi rzeczami jak obrusy, serwetniki czy maty łazienkowe, mogąc zabrać tylko ograniczoną ilość rzeczy.

Uzupełniła letnią wodę wrzątkiem przyniesionym w czajniku z kuchni. Jeden czajnik to było zbyt mało, ale zanim nagrzałyby drugi, wszystko by wystygło, więc zdecydowała się na wersję „letnio i szybko”.

Teraz, pokryta gęsią skórką, zawinęła się w wielki ręcznik kąpielowy. Dom był nie tylko ponury i cuchnący, lecz również pełen przeciągów. Pomiedzy wanną a toaletą stał mały grzejnik, ale pomagał tylko wtedy, gdy stała tuż przy nim. Na pocieszenie Val pomyślała, że z tymi wszystkimi przeciągami przynajmniej nie grozi jej zaccadzenie. Za to niesprawna instalacja elektryczna mogła spowodować pożar. Zanotowała sobie w pamięci, że trzeba natychmiast naprawić bojler i sprawdzić przewody. To z kolei przypomniało jej o tym, że nie spytała, czy dom jest ubezpieczony.

– Witamy w prawdziwym świecie, panno Bonnard – wyszeptała kilka minut później, rozpościerając olbrzymie prześcieradło typu king size z egipskiej bawełny na wyboistym podwójnym materacu.

Włożyła granatową satynową piżamę, peruwiański ręcznie robiony sweter i ciepłe skarpetki. Nawet w styczniu na słonecznym południu nie powinno być chyba aż tak zimno.

Na szczęście wcisnęła do samochodu dwie puchowe kołdry, z których jedna wylądowała natychmiast na ohydnej sofie w brązową kratę stojącej w salonie na dole. Druga z nich była o wiele za duża na obecne łóżko, ale znajomy indyjski deseń na po włóczce wpływał na Val kojąco.

Teraz Val wzięła pióro i notatnik, po czym usadowiła się, by sporządzić listę sprawunków, ignorując sygnały wysyłane przez żołądek, który od śniadania musiał zadowolić się preclami, popcornem i dwoma batonikami. Nazajutrz będzie musiała wziąć się do roboty z samego rana, by jako tako doprowadzić dom do stanu używalności, a potem skoncentruje się na studiowaniu dokumentów ojca i szukaniu dowodów jego niewinności.

Pogryzając czubek swego białego pióra marki Mont Blanc, ponownie przeczytała listę zakupów. Obrus –w końcu nie można obniżać standardów, do których się przywykło. Pokrowiec na materac, który bardzo jej się nie podobał, nawet gdy przerzuciła go na drugą stronę. I oczywiście mata łazienkowa. Będzie musiała spytać agentkę, gdzie na wyspie kupuje się takie rzeczy.

Oprócz tego na liście znalazły się herbata, rogaliki i jeszcze jakieś jedzenie, najlepiej gotowe. Marszcząc nos, wpisała też pułapki na myszy. I przybory do czyszczenia.

Czysty dom był dla niej zawsze czymś oczywistym. Po studiach mieszkała w małych mieszkaniach, najpierw w Chicago, potem na Manhattanie, zawsze w luksusowej dzielnicy. Przeniosła się do ojca po jego pierwszym lekkim ataku serca i wkrótce zaangażowała się w działalność miejscowych towarzystw dobroczynnych. To umiała najlepiej – zdobywać fundusze na szczytne cele. Często pracowała też jako hostessa swego ojca, choć większość oficjalnych imprez była organizowana w klubie.

Właściwie wiodła całkiem przyjemne życie. Niezbyt ekscytujące, bez specjalnych osiągnięć, ale całkiem wygodne.

– Czas wszystko ulepszyć – powiedziała do siebie, a jej głos odbił się echem w pustym domu.

Zmęczona, głodna, lecz o dziwo pełna energii, obejrzała cały dom. Niestety, nie było już znajomych francuskich tapet w jej dawnej sypialni, niepasujących do siebie, lecz dobrze zakonserwowanych antyków, spłowiałego orientalnego dywanu, eklektycznej kolekcji bibelotów i skromnych dzieł sztuki. Teraz pokój straszył zapiaszczoną gołą podłogą, gołymi, pomalowanymi na biało ścianami, brudnymi oknami i fetorem myszy.

Cóż, jakoś to zniesie. Piasek, jak zauważyła, zalegał w szparach między deskami, więc kiedy zamiatała, wciąż pojawiał się na nowo. Odrobina piasku jej nie zaszkodzi. W końcu mieszka w pobliżu plaży. Z domu nie było wprawdzie widać oceanu, ale dało się słyszeć jego szum.

Dopisała do swej listy płyn do mycia szyb i środek do czyszczenia łazienki, mając nadzieję, że na butelkach są instrukcje użytkowania, gdyby nie wiedziała, jak się zabrać do rzeczy. Potrzebowała jeszcze ręczników papierowych, gąbek i gumowych rękawiczek, choć pewnie nie będzie mogła ich nosić, bo jej skóra łatwo ulegała podrażnieniom.

Przypomniła też sobie, że musi zdjąć z trawnika tabliczkę z napisem „Do wynajęcia”. Trawnik był zresztą w strasznym stanie, ale postanowiła, że gdy tylko upora się z uporządkowaniem domu, pomaluje drzwi na jakiś jaskrawy kolor, by odciągnąć uwagę od trawy i obłazącej farby ze ścian, a potem, gdy będzie ją na to stać, zadba o zieleń i pomaluje cały dom. Nie przeszkadzało jej, że coś jest stare, ale wołała stare i czarujące od tego, co stare i zaniedbane.

Snując plany, pomyślała, że potrzebuje pracy, i to płatnej z góry. Oparła się na dwóch puchowych poduszkach i przymknęła oczy.

– Tato, co ja mam robić? – westchnęła. – Charlie, Belinda, Miss Mitty, gdzie jesteście teraz, gdy was potrzebuję?

Jedyną odpowiedzią było smętne pokrzykiwanie przelatujących nad domem dzikich gęsi. Była dopiero dziewiąta. Nigdy nie kładła się przed jedenastą, a przeważnie chodziła spać o pierwszej albo drugiej.

Zanim zasnęła, znów wróciło wspomnienie ojca, którego wyprowadzają do nieoznakowanego samochodu, podczas gdy ona stoi w drzwiach, zbyt oszołomiona, by zaprotestować. Jeden z funkcjonariuszy przytrzymał głowę ojca i niemal siłą wepchnął go na tylne siedzenie.

To była niedziela, jej urodzinowy poranek. Belinda przygotowała na śniadanie naleśniki z jagodami. Gdy Charlie otworzył drzwi, Frank Bonnard, ranny ptaszek, był w swoim gabinecie, ubrany w wełniane spodnie, białą koszulę rozpiętą pod szyją i granatowy sweter z szetlandzkiej wełny. Val pomyślała później, że tajniacy chętnie wyprowadziliby go pewnie w pomarańczowym kombinezonie więziennym, na oczach reportera, który prawdopodobnie miał podsłuch podłączony do policyjnego radia i jechał z nimi aż na Belle Haven.

To był dopiero początek. W następnych godzinach dziennikarze zaroiли się jak szarańcza. Potem zaczęły się telefony. Pomimo zastrzeżenia numeru wielu ludziom udało się dodzwonić. „Gdzie moja forsa?” –wykrzykiwali. Albo: „Frank Bonnard jest mi winien rentę, do cholery. Gdzie moje pieniądze? Co mam teraz zrobić?”

Telefony ustały, gdy policja założyła podsłuch na wszystkich trzech liniach telefonicznych. Val zastanawiała się, dlaczego tak się stało. Skąd niby dzwoniący mieli wiedzieć, że można ich namierzyć?

Telefony się skończyły, ale koszmar trwał nadal. Na granicy jawy i snu po raz tysięczny przeżywała poranną scenę z końca września. Charlie, pobladły, z zastygłą twarzą, cofa się od szerokich drzwi frontowych, by wpuścić dwóch mężczyzn do środka. Ojciec wychodzi z gabinetu i staranie

zamyka za sobą drzwi. Belinda, stojąca w drzwiach jadalni, zasłania pulchną dłonią usta.

W niecałe dwanaście godzin później ojciec już nie żył. Nękana przez reporterów, rewidentów i facetów w fatalnych garniturach, którzy uważali, że mają prawo nachodzić ją w domu, Val rozpaczliwie próbowała zdławić swe uczucia i ukryć się przed wszystkimi.

Gdy przypierano ją do muru, szybko nauczyła się udzielać odpowiedzi typu: „Nie wiem”, „Bez komentarza” albo „Mój ojciec jest niewinny”.

Teraz nadal się ukrywała przed światem, ale musiała wreszcie poznać prawdę, nawet jeśli miałyby się okazać, że wolałaby jej nie znać. W Greenwich trudno jej było zdobyć się na obiektywizm. Tutaj, gdy tylko się zadamowi, będzie mogła wszystko dokładnie zbadać i przemyśleć. Wtedy przynajmniej ci wszyscy, którzy dzwonili, pytając, gdzie są ich pieniądze, wreszcie się tego dowiedzą, choć nie wiadomo, czy ta informacja na coś im się przyda.

Valerie Bonnard spała tej nocy twardym snem. Obudziła się tuż przed świtem, myśląc o myszy, którą widziała, i wszystkich innych, które słyszała i czuła nosem. Zaczęła się zastanawiać, czy myszy są mięsożerne, i doszła do wniosku, że chyba jedzą tylko ziarno. Była jednak pewna, że teraz już na pewno nie zaśnie. Z zaciśniętymi mocno powiekami przekręciła się na brzuch. Na jej własnym twardym materacu to była ulubiona pozycja, choć czasem martwiła się, że z tego powodu przed czterdziestką będzie cała w zmarszczkach. Niestety na materacu, który zapadał się na kształt hamaka, leżąc na brzuchu, można było jedynie się udusić albo wykrzywić sobie kręgosłup.

Grax, jeśli spałaś na tym łóżku, to nie dziwię się, że byłaś taka zgarbiona, pomyślała Val. Jej prababcia miała na imię Achsah, zdrobniale

nazywano ją Axa. Będąc dzieckiem, Val mówiła na nią Grax. Z jednej krótkiej wizyty zapamiętała starszą panią o roześmianych błękitnych oczach i krótkich siwych włosach. Gdy zajechali pod jej dom, pracowała właśnie na podwórzu, w czapce z daszkiem, bawełnianej sukience w drobny rzucik i tenisówkach. Rodzice jechali wtedy do Hilton Head i nadłożyli nieco drogi przy Outer Banks, aby Lola, matka Val, mogła przedstawić swą rodzinę babci.

Siedmioletniej wówczas Val podróż bardzo się dłużyła. Rodzice wciąż się sprzeczali. Dziwne, że to wszystko pamiętała. Wydaje jej się, że to matka nie miała ochoty na przerwę w podróży.

Spędzili noc w motelu, a obiad zjedli w małym białym domku w lesie. Zanim jeszcze Val poczuła zapach pierniczków, domek skojarzył jej się z ciocią Em z „Czarnoksiężnika z krainy Oz”.

Grax podała na obiad gotowaną rybę – nazywała ją bęben – z tłuczonymi ziemniakami, surową cebulą i skwarkami. Choć danie wyglądało na dziwne, okazało się ciekawą mieszanką smaków.

Jej matka nie tknęła jedzenia. Ojciec parę razy dziabnął danie widelcem. Val, z powodów, których nie pamiętała, wyczyściła talerz do czysta, a potem strasznie się przechwalała. Później zjadła jeszcze dwa pierniczki z cytrynowym sosem.

To był pierwszy i ostatni raz, kiedy widziała swoją prababcie. W dwa lata później rodzice się rozwiedli. Opiekę nad Val przydzielono ojcu – czy matka w ogóle o nią zabiegała? W każdym razie Lola Bonnard przez następnych kilka lat mieszkała za granicą, więc nie było mowy o żadnych odwiedzinach. Val, jak to zwykle bywa, zastanawiała się, czy nie ponosi winy za rozwód rodziców, i snuła różne plany pogodzenia ich.

Miała nadzieję, że matka przyjechała na pogrzeb Grax, ale wcale nie była tego pewna. Nigdy nie była blisko z Lolą Bonnard, nawet przed rozwodem rodziców. Potem jej relacja z matką ograniczała się do wymiany okazjonalnych pocztówek na Boże Narodzenie albo urodziny. Prawnik ojca zarządzał później spadkiem po Grax, opłacał kogoś do opieki nad domem i jego wynajmu. W tym czasie Val mieszkała w Chicago i pracowała dla prywatnej fundacji, która zapewniała schronienie i opiekę medyczną bezdomnym dziewczętom.

– Przepraszam, Grax – szepnęła Val, nagle przytłoczona poczuciem winy. – Jest mi przykro, jest mi wstyd i mam nadzieję, że miałaś mnóstwo przyjaciół, więc wcale za nami nie tęskniłaś.

Nic dziwnego, że dom wydawał się taki zimny i pusty. Ilu obcych mieszkało w nim od śmierci Grax? Nie pozostał żaden ślad po Achsah Dozier, żadnego echa po irlandzkim akcencie starszej pani, który tak fascynował Val. Ani cienia zapachu kwiatów jaśminu, które przyniosła ze swego ogródka. Lola zaczęła narzekać, że ją mdli od tej woni, więc Grax bez słowa wyniosła wazon na ganek.

Val przyrzekła sobie, że gdy tylko wyczyści dom i dokona w nim niezbędnych napraw, uporządkuje ogródek.

Lecz najpierw musi zająć się dokumentami ojca, znaleźć to, co chciał jej wskazać, i oczyścić z zarzutów jego imię. Frank Bonnard był porządnym, uczciwym człowiekiem, choć również niepoprawnym marzycielem. Nie zasłużył sobie na to, co go spotkało.

ROZDZIAŁ DRUGI

John Leo MacBride oglądał uważnie zbitą kupę talerzy i sztucców wyłowioną z nazistowskiej łodzi podwodnej, która zatoneła w czasie drugiej wojny światowej u wybrzeży Nowej Anglii. Zastanawiał się, czy niektórych przedmiotów nie zostawić w obecnym stanie, zamiast moczyć je w kwaśnym roztworze, rozdzielać i czyścić. Kontrast przed–i–po uatrakcyjni ekspozycję w małym muzeum, które zakupiło znalezisko.

Zerknął na zegar wiszący na ścianie garażu przyrodniego brata, gdzie urządził sobie prowizoryczną pracownię parę miesięcy temu, gdy Will zadzwonił z prośbą o pomoc. Na razie udało mu się właściwie tylko powstrzymać Macy, żonę Willa, przed pogorszeniem spraw. No i miał oko na prawnika, który należał do tych, co lubią żerować na nieszczęściu klientów.

Mac udzielał też bratu moralnego wsparcia, czego ten biedak nie mógł oczekiwać od Macy. Wyglądało na to, że odpowiada jej rola żony mężczyzny oskarżonego o malwersacje, który właśnie oczekuje na proces. Dwa dni po tym, jak Will wyszedł za kaucją, rozjaśniła włosy i od tej pory zdążyła udzielić niezliczonych wywiadów.

Córka Bonnarda, wręcz przeciwnie, uniknęła ataków mediów. Domyślał się, jak jej się to udało, ale uprzywilejowana pozycja społeczna nie znaczy, że jej ojciec był niewinny.

Mac sądził, że Will zawinił tylko tym, że był zbyt ufny. W niecały rok po tym, jak został partnerem, Will pograżył się wraz z Frankiem Bonnardem, założycielem i dyrektorem prywatnej firmy konsultingowej. Bonnard zapłacił za swoje grzechy, umierając na zawał serca tuż przed rozpoczęciem śledztwa.

Will wynajął nieudolnego prawnika – kolegę ze studiów. Sam też skończył prawo i początkowo zamierzał osobiście występować w swojej obronie, ale Mac odwiódł go od tego pomysłu. Teraz tego żałował.

A forsy jak nie było, tak nie było, zaś po trzech miesiącach od aresztowania ślady prowadziły donikąd. Prawdopodobnie pieniądze przelewano w ciągu wielu lat z jednego zagranicznego konta na drugie, aż wreszcie nie można było ich namierzyć.

Nikt nie miał nic do powiedzenia. Bonnard dlatego, że nie żył, Will – bo o niczym nie miał pojęcia, a jego prawnik – z powodu nadmiernego zainteresowania barami i to nie takimi, gdzie serwowano drinki. Facet był po prostu pijaczyną.

Mac sporządził swoją własną listę podejrzanych i dokładnie ją sobie przemyślał. Główny inspektor finansowy, Sam Hutchinson, obecnie przebywał na zwolnieniu i opiekował się nieuleczalnie chorą żoną. Logicznie rzecz biorąc, był podejrzany. Jednak komputery, dokumentacja, wszystko, co nosiło jego odciski palców, zostało skonfiskowane. Wyszedł ze śledztwa oczyszczony z zarzutów. Will lubił tego facet. Jeszcze kilka godzin przed śmiercią Bonnard ręczy za niego słowem.

Co do Bonnarda, zmarłego dyrektora Bonnard Financial Consultants, nawet śmierć nie zapewniła mu ochrony. Gdy zewnętrzni rewidenci dorwali się c dokumentów, Bonnard i Will wpadli w sieć obławy

Wkrótce potem Mac przeniósł swą bazę operacyjną z Mystic do domu Willa w Greenwich. Obecnie gnieździł się w małym mieszkanku nad garażem i konserwował znaleziska z ostatniego połowu na za mówienie muzeum. BFC było małą regionalną firmę a przecież nawet te wielkie rozbiły się w ostatnich latach o rafę trudności finansowych. Straty ofiar krachu były porównywalnie tak samo dotkliwe, gdy firma BFC

specjalizowała się w zarządzaniu funduszami emerytalnymi drobnych przedsiębiorców.

Oddając zmarłemu dyrektorowi sprawiedliwość trzeba przyznać, że kiedy kilka lat wstecz nastąpił kryzys ekonomiczny, Bonnard zastawił swój wytworny dom i zasilił funduszami firmę. Fakt ten dość szybko wyszedł na jaw. Zdaniem Maca, nie pasowało do wizerunku malwersanta. Chyba że w tym samym czasie Bonnard podbudowywał firmę, by nie budzić podejrzeń, a jednocześnie na boku ciągnął zyski. Sprytny chwyt, jeśli potrafi się go zastosować.

Jedyną spadkobierczynią Bonnarda była jego córka. Policja federalna na wszelki wypadek ją przemaglowała, ale wyglądało na to, że nie miała nic wspólnego z interesami ojca. Will był przekonany, że jest niewinna. Jego żona, Macy, nie podzielała tej opinii, ale ona była zazdrosna o każdą ładną kobietę, zwłaszcza taką, która urodziła się w bogatej rodzinie. Jednak nawet Mac zastanawiał się, czy śledczy nie potraktowali córki Bonnarda ulgowo z powodu jej urody i pozycji społecznej. Być może pewną rolę odegrało tu również współczucie, bo fakt, że ojciec zmarł w jej trzydzieste urodziny, robił duże wrażenie. Prasa bardzo to rozdmuchała. Mac przypominał sobie jej bladą, przerażoną twarz – nieskazitelne rysy, wystraszone szare oczy – pojawiającą się na zdjęciach w ciągu tygodnia po aresztowaniu Bonnarda, aresztowania, po którym nastąpiła niemal natychmiastowa śmierć.

Torba Maca była spakowana, a bak jego land cruisera pełny. Był gotów do drogi na południe, do małej Shirley, swej przyjaciółki hakerki. Nie żeby pomoc hakerów była niezbędna w tej sprawie, bo ogólne dane były dostępne dla każdego, kto wiedział, geograficznie rzecz ujmując, gdzie szukać. Ale kiedy szybko potrzebował informacji, warto było znać kogoś, kto potrafił zmusić komputer, by zaśpiewał „Gwiaździsty sztandar”.

Oficjalnie jedyny majątek Valerie Bonnard stand wił obecnie skromny fundusz powierniczy, który nu przyniesie dochodu przez następnych pięć lat, oraz mała posiadłość odziedziczona w miejscowości Buxton, w Karolinie Północnej. Mac znał te okolice – któryż archeolog morski nie znał słynnego Cmentarzyska Atlantyckiego? Na wyspie istniało nawet nowe muzeum o tej nazwie. Z tego, co znalazł w internecie wynikało, że większa część wyspy, która nie została jeszcze uznana za park narodowy, w ciągu ostatnich dziesięcioleci bardzo się rozwinęła.

Panna Bonnard, podszywając się pod lipną korporację, mogła regularnie inwestować w jakąś obiecującą nieruchomość. Jak dotąd Shirley nie zdołała połączyć jej nazwiska z niczym konkretnym, ale to byłby sprytny ruch, zwłaszcza biorąc pod uwagę wahania na giełdzie. Bez względu na to, czy rzeczywiście wpakowała zaginione fundusze w obiecującą nieruchomość, można było zacząć dochodzenie właśnie od niej.

Jedną z zalet bycia niezależnym morskim archeologiem stanowiła duża ilość czasu, jaką miał do dyspozycji. Styl życia Maca sprowadzał się do tego, że w porównaniu z takim choćby Willem posiadał niewiele rzeczy i niewiele wydawał na utrzymanie, choć trzeba przyznać, że życie Willa mogło w najbliższej przyszłości ulec drastycznym zmianom. Mac czuł, że kiedy ten koszmar się skończy, jego przyrodni brat straci nie tylko pozycję młodszego partnera w firmie, luksusowy dom i członkostwo paru klubów. Teraz, gdy zainteresowanie prasy przeminęło, Macy sprawiała wrażenie niespokojnej. Niewykluczone, że odejście od Willa, co zdaniem Maca byłoby zresztą małą stratą.

Jazda czternastoletnim, przerobionym własnoręcznie land cruiserem była przerywana przystankami i zajęła mu dwa dni. Pierwszą noc Mac spędził w regionie Norfolk. Późnym popołudniem drugiego dnia, po

spędzeniu paru godzin na zwiedzaniu miejscowych muzeów morskich, zajechał do motelu w Buxton i wynajął tam pokój, zamierzając spędzić pierwsze pół godziny, rozmasowując mięśnie pod ciepłym prysznicem.

W wieku trzydziestu siedmiu lat zaczynał dochodzić do wniosku, że dźwignia zmiany biegów jest rzeczywiście dość uciążliwym urządzeniem. Przyjaciel dawno już doradzał mu kupno nowego samochodu z automatyczną skrzynią, ale Mac nie zamierzał zamieniać na inny swego pojazdu z zamykanymi, specjalnie profilowanymi komorami na sprzęt nurkowy i ergonomicznymi siedzeniami. Po długiej jeździe zawsze potrzebował trochę czasu, żeby się odprężyć, ale lubił to, bo miał okazję poczytać. Teraz też wrzucił w ostatniej chwili parę książek do torby, na wypadek gdyby miał trochę wolnego czasu. Ale nie planował zostać dłużej, niż trzeba, by namierzyć ślad, który pozwoli uwolnić Willa od zarzutów.

Jeżeli Mac miał jakieś słabości – a przyznawał się do wielu – były to książki. Jeśli pozwalał sobie na jakieś ekstrawydanki, oprócz sprzętu do nurkowania kupował właśnie książki, głównie historyczne. Historia zawsze bardzo go interesowała. Jednak czytanie może poczekać, aż osaczy pannę Bonnard i wyciągnie z niej informacje, których potrzebuje.

Recepcjonistka była młoda i gadatliwa, więc Macowi wystarczyły dwie minuty, by dowiedzieć się gdzie jest dom nieżyjącej Achsah Dozier, a nie było to miejsce, w które łatwo trafić.

– Nie znałam jej, jestem tu dopiero od kilku lat – powiedziała młoda kobieta. Omiotła go wzrokiem i poprawiła odruchowo włosy, gdy wszedł do holu ale przyjrzawszy się z bliska, uznała widać, że nie jest aż tak interesujący.

A przecież prezentował się całkiem nieźle – miał wciąż wszystkie włosy i zęby i często pytano go, czy jest instruktorem na siłowni. Nie był,

ale dzięki swej pracy miał dobrze zbudowane nogi i tors, był wąski w talii i biodrach. Jednak jego twarz porównano kiedyś do kamieniołomu.

– Jak pan stąd wyjdzie, trzeba skrócić w lewo –kontynuowała recepcjonistka, a Mac starał się zapamiętać jej wskazówki. – Słyszałam, że po śmierci właścicielki dom był wynajmowany, ale teraz nikt tam chyba nie mieszka. Marion Kuvarky z Seaview Realty będzie mogła udzielić panu informacji.

Coś – powiedzmy, że instynkt myśliwego – mówiło mu, że panna Bonnard ukrywa się właśnie w domu swej prababki, prawdopodobnie zamierzając przeczekać wrzawę wokół własnej osoby. Jeśli ma mózg pod tą swoją czarną lśniączą czuprynką, musi przecież wiedzieć, że nadal jest przedmiotem zainteresowania określonych urzędów, nawet jeśli dotychczas nie znalazły przeciw niej żadnych dowodów.

Najrozsądniejszą rzeczą w tej sytuacji byłby wyjazd w miejsce, gdzie nikt jej nie zna, i czekanie, aż sprawa przyschnie. Po powiedzmy sześciu miesiącach, a jeszcze lepiej roku, z forszą, którą ma ukrytą na jakimś zagranicznym koncie, może osiedlić się, gdzie jej się żywnie podoba.

Przypuszczalnie ukrytą, poprawił się w myślach niechętnie. Jak dotąd, był jedyną osobą, która wysuwała takie przypuszczenie, ale miał ku temu osobiste powody. Will na pewno nie sprzeniewierzył tych cholernych pieniędzy. Po pierwsze, jego przyrodni brat nie umiał kłamać, a po drugie, gdyby położył łapę na takiej forsie, jego żona już zdążyłaby ją wydać. Zakupy były jej główną pasją.

Mac był specjalistą od zagadek. Jako archeolog morski to właśnie robił najlepiej. Studiowanie dowodów – dokumentów, informacji dotyczących warunków politycznych czy atmosferycznych – pozwalało mu ustalić

miejsce, gdzie zatonął dany statek. Gdy już przetrawił wszystkie dostępne dane i zdał się na instynkt, był gotów podjąć poszukiwania.

W tym wypadku pole zawęziło się do dwóch podejrzanych: Bonnarda i Willa. Po wyeliminowaniu Willa pozostawał tylko Bonnard, czyli obecnie – jego spadkobierczyni. Rewidenci wciąż analizowali dokumentację, ale sprawa powoli usuwała się w cień, bo zdążyły wypłynąć już nowe. Will zaś był w ciągłym zawieszaniu, zaś jego sprawa nie miała nawet ustalonego terminu rozprawy.

Mac postanowił poczekać do rana z odszukaniem domu. Mógł nawet poczekać jeszcze jeden dzień przed nawiązaniem kontaktu z panną Bonnard, ale nie dłużej. Potrzebował szybko odpowiedzi. Will źle znosił swoją sytuację. Stracił na wadze, miał wiecznie podkrążone oczy, a jego małżeństwo się rozpadało.

Czas naglił. Mac nie chciał spłoszyć panny Bonnard, ale nie mógł sobie pozwolić na to, by czekać zbyt długo. Policja federalna nie znalazła przeciw niej żadnych dowodów, nawet nie powołali jej na świadka, ale Macowi wnioski nasuwały się same. Te cholerne pieniądze nie rozplynęły się przecież w powietrzu. Ktoś z otoczenia Bonnarda miał klucz do sejfu. Facet rozwiódł się ponad dwadzieścia lat wcześniej, nigdy ponownie się nie ożenił. O ile wiadomo, nigdy nie miał stałej kochanki. Kilka krótkich związków, z których żaden nie trwał dłużej niż parę miesięcy. Prasa rzuciła się na jego byłą żonę, aktualnie zameżną po raz trzeci. Nie przepadała za swoim pierwszym mężem, więc gdyby cokolwiek wiedziała, prawdopodobnie by to ujawniła. Kolejna ślepa uliczka. Metodą eliminacji wracało się do córki. Miliony dolarów nie mogły ot tak sobie przesączyć się przez szparę w podłodze jak złoty piasek w czasach gorączki złota. Ktoś czekał, aż ucichnie wrzawa, by sięgnąć po tę forszę. A Mac domyślał się, o kogo chodzi.

Valerie Stevens Bonnard... Mac wiedział, jak ona wygląda, nawet jakim jeździ samochodem. Widział ją parę razy w mieście, gdy odwiedzał Willa ostatniej wiosny. Chłodna, bez skazy, seksowna w stylu nie–dotykaj –mnie. Raz nawet z nią rozmawiał. Will pojechał służbowo do jakiegoś podmiejskiego klubu, podczas gdy Mac spędzał kilka dni w Greenwich. Will zapomniał zabrać okularów i zadzwonił z prośbą, by Mac mu je podrzucił. Mac naprawiał wtedy właśnie skrzynię biegów i nie zwracając sobie głowy przebieraniami, podjechał pod klub, by zostawić okulary w portierni. Gdy zaparkował swego wysłużonego land cruisera pomiędzy lexusem a escaladą, podjechała panna Bonnard w swoim mercedesie kabriolecie. Najwyraźniej wzięła go za pracownika fizycznego, bo poinformowała uprzejmie, że parking dla pracowników znajduje się na tyłach klubu. Nawet raczyła się uśmiechnąć, a jej wielkie szarozielone oczy były ciepłe jak lodowiec.

Tak więc wiedział, jak ona wygląda. Ale ona na pewno go nie rozpozna. Zapomniała jego twarzy po dwóch sekundach.

Val potrafiła robić wiele rzeczy, na przykład organizować przyjemne kolacyjki dla pięćdziesięciu osób i nadzorować kwestę, w której każdy gość płacił tysiąc dolarów za talerz. Świetnie grała w tenisa, jeździła na nartach i znała się na upinaniu draperii. Była wyszkolona we wszystkich dziedzinach, w których oczekiwano biegłości od kogoś, kto zajmował tak uprzywilejowaną pozycję społeczną jak ona.

Teraz, na widok kuchenki pokrytej kilkucentymetrową warstwą brudu i spalenizny, wybuchnęła płaczem, a to dlatego, że nie była biegła w przeklinaniu.

Otarła oczy, rozsmarowując smugę brudu po policzku, i spojrzała ponuro na stukoczące okno kuchenne. Musi być przecież jakiś sposób, by

zatkać te szpary w oknach! Jak poprzedni lokatorzy chronili się przed zimnem?

Odpowiedź jest prosta: w ogóle im się to nie udawało.

Prawdopodobnie dlatego się wynieśli, zostawiając po sobie okropny bałagan. W trzech pokojach były klimatyzatory zewnętrzne. Nikt nie pofatygował się, by je usunąć na czas zimy, czy choćby czymś zakryć, nie mówiąc już o uszczelnieniu otaczających je szpar. Val pozatykała dziury torebkami, które zostały jej po pierwszych zakupach. Ani małe grzejniki, ani brzydki brązowy piec olejowy nie mogły sprostać zimnej wilgoci, która zdawała się sączyć ze ścian. Czy na południu nie słyszano o tym, że ociepla się domy?

Val dodała do swej listy sprawunków rolkę plastra izolującego, więcej środków czystości, kolejny sześciopak ręczników papierowych i jeszcze kilka pułapek na myszy. Plastikowe zabezpieczenia będą musiały wystarczyć, zanim sprawi sobie porządne okna.

Po wielu godzinach sprzątnięcia i szorowania większość pokoi na dole oraz jej sypialnia i łazienka na górze pachniały jodłowym płynem do czyszczenia, a nie jak do tej pory – myszami i pleśnią. Val kupiła pułapki, które łapały myszy żywcem, bo chociaż nie zamierzała dzielić domu z gryzoniami, nie chciała też zabijać żadnych stworzeń. Pająki, karaluchy i komary może tak, ale nic większego.

Jej nowy styl życia wymagał całkiem innego nastawienia. Belinda, gospodyni ojca, i Charlie, człowiek od wszystkiego, po prostu ją rozpuścili. Teraz, by jakoś sobie urządzić życie, musiała nabyć masę nowych umiejętności. W trakcie nauki zdobywała też mnóstwo sińców, zadrapań i łamała paznokcie, nie wspominając o wysypce na lewej ręce po próbie noszenia gumowej rękawicy. Francuski manicure i wyszukane fryzury należały

niewątpliwie do przeszłości. Po drugim dniu harówki nie zwracała sobie głowy makijażem, jedynie twarz smarowała kremem nawilżającym, a usta – kiedy pamiętała – szminką nawilżającą. Zamiast swego zwykłego koka splatała włosy w warkocz, który pod koniec dnia był zmierzwiony i udekorowany pajęczynami.

Dobłą stroną wszystkiego było to, że mając tyle zajęć, nie mogła tracić czasu na płacz. Ciężka praca okazała się świetnym lekarstwem na ból. Ku swemu zdziwieniu Val zawierała nawet nowe znajomości. Polubiła Marion Kuvarky z agencji nieruchomości, pracownika sklepu, który doradził jej, jakie pułapki na myszy ma kupić, przyjazną kobietę na pocztę, gdzie wynajęła skrzynkę. Wszystkich wypytywała o różne sprawy, począwszy od tego, co gdzie kupić, a kończąc na prognozie pogody.

– Chyba trzeba oczekiwać nieoczekiwanego – powiedziała pracownica poczty. – O tej porze roku jednego dnia może być cieplutko, a następnego przyjdzie mróz. Niewiele śniegu, ale silne wiatry. Czy mówiłam, że pocztę trzeba odbierać osobiście? Nie dostarczamy przesyłek do domów.

Val przypomniała sobie, że musi rozesłać informację o zmianie adresu.

Ale najpierw trzeba wyszorować szafki kuchenne. Na razie dała sobie spokój z piecykiem, i tak nie wiedziała, jak się go używa. Jednak prędzej czy później pozbędzie się tej warstwy brudu, nawet gdyby miała użyć w tym celu dynamitu. Jak tylko skończy z kuchnią, zacznie szorować pokój na tyłach domu i tamtą łazienkę, na wypadek gdyby przyparta do muru, musiała wziąć lokatora. Tymczasem trzeba usunąć to prawie niewidoczne ogłoszenie z podwórza. Albo na razie je zakryć. Chociaż myślała z niechęcią o naruszeniu swej prywatności, wynajem przyniósłby jej pewien dochód, zanim znajdzie jakąś pracę. Chociaż zaproponowana przez Marion posada sprzątaczką była chyba żartem... a może nie?

Stojąc na przedostatnim stopniu rozchwierutanej drabiny, którą wyszperała w szopie na tyłach podwórza, Val wsparła się o otwarte drzwiczki wysokiego kredensu, gdy wycierała ostatni kawałek na górze, i skrzywiła się, bo mięśnie bolały ją z wysiłku. Aż trudno uwierzyć, że kilka miesięcy wcześniej zdarzało się to tylko wtedy, gdy tańczyła przez całą noc, grała w tenisa cały ranek, a wieczorem rozwieszała obrazy na dobroczynną wystawę.

Ale przynajmniej nie miała już problemów ze snem. Szybki gorący prysznic, dwie tabletki acetaminophenu i wyłączała się, jakby gasiła światło. Przez ostatnie kilka miesięcy przeleżała wiele nocy, drażąc w myślach korytarze mające ją doprowadzić do odpowiedzi na pewne pytania. Na przykład: kto sprzeniewierzył takie mnóstwo pieniędzy i dlaczego nikt tego nie zauważył, chociaż firma była mała i pracowali w niej świetni księgowi. Słyszała oczywiście o różnych gierkach, po części legalnych, jakie stosują największe firmy rachunkowe. Ale i tak pozostaje pytanie, dlaczego nikt nie zauważył, aż do chwili, gdy było za późno? Co stało się z pieniędzmi?

I dlaczego, do cholery, nie studiowała MBA, zamiast tracić czas na muzykę folk, literaturę i historię sztuki?

Jednak nawet absolwenci harwardzkiego MBA nie potrafili zapobiec temu, że ojciec został oszukany. Siłą Franka Bonnarda była niezwykła pomysłowość, ale szczegóły rozpracowania naszkicowanego przez siebie planu pozostawiał zespołowi pracowników. Zespół ten składał się przede wszystkim z Sama Hutchinsona, którego nigdy nie było na miejscu, i administracyjnej asystentki, której nigdy nie spotkała, zanim ją zwolniono. Val miała przeczucie, że Miss Mitty maczała w tym palce, gdyż nowo przybyła wkraczała na terytorium, które starsza pani uważała za swoją wyłączność.

No i oczywiście był jeszcze Will Jordan, nowy młodszy partner, który został postawiony w stan oskarżenia wraz z jej ojcem. Prawdopodobnie to on był winien. Oskarżyciele też tak musieli myśleć, skoro miał mieć proces.

By być fair, musiała włączyć do kręgu podejrzanych również Miss Mitty, długoletnią przyjaciółkę rodziny i bardzo sprawną, acz nieoficjalną asystentkę ojca. Nie żeby Mitty Stoddard wydawała się z jakiegoś względu podejrzana, ale po prostu była w firmie od zawsze. Gdyby nie przeszła na emeryturę w sierpniu, wiedziałyby dokładnie, gdzie zacząć kopać. Nie miała wprawdzie wyższego wykształcenia, a tym bardziej wysokiego stanowiska w pracy, ale była mądrzejsza, niż sądził każdy młodszy członek zespołu.

Val znów zapisała sobie w pamięci, że musi spróbować nawiązać z nią kontakt. Wykręcała jej numer wielokrotnie w ciągu ostatnich tygodni, zawsze z tym samym skutkiem. Zostawiała wiadomości na automatycznej sekretarce, ale nie doczekała się odpowiedzi. Najpierw była zbyt zaaferowana, by się nad tym zastanawiać, ale teraz zaczęła się naprawdę martwić. Jeśli Miss Mitty była chora, tłumaczyłoby to jej nagłą decyzję o przejściu na emeryturę. Przeniosła się do Georgii, do siostrzenicy, która właśnie owdowiała. Nie chciała, by się o nią martwiono.

Właściwie to Miss Mitty nigdy nie ufała Willowi Jordanowi. A ludzie, którym ona nie ufała, rzadko zagrzewali miejsce w BFC. Jordan był wyjątkiem.

Jeśli Mitty Stoddard komuś nie ufała, istniał po temu ważny powód, nawet jeśli nie było to zrazu oczywiste. Val była przekonana, że Miss Mitty wyraziła swoje zastrzeżenia, ale widocznie Frank Bonnard nie zgodził się z nią po raz pierwszy od czasu trwania ich długiej znajomości.

Val westchnęła. Bardzo potrzebowała kogoś, z kim mogłaby omówić wszystkie te zawikłane sprawy, a Miss Mitty byłaby najlepsza. Pod jej

lawendowymi włosami krył się zadziwiająco bystry umysł. Brak odpowiedzi na telefony był zupełnie nie w jej stylu.

Gdy Val odwiozła ją na lotnisko, ostatnie słowa, jakie wypowiedziała, zanim wsiadła do samolotu do Atlanty, brzmiały: „Masz do mnie dzwonić. Wiesz, co myślę o tym młodym człowieku, z którym jesteś związana. – Val była w tym czasie zaręczona. – Ale wiem, że nie będziesz słuchać starej kobiety. I nie mam o to do ciebie pretensji” – zaśmiała się. Wyglądała bardzo ładnie w granatowym kostiumie i koronkowej białej bluzce, z subtelną złotą spinką przypiętą przy kołnierzyku. „Jak ustalisz datę, daj mi znać, żebym mogła zaplanować przyjazd. Belinda i Charlie starzeją się coraz bardziej, ostatnia rzecz, jakiej potrzebują, to wielki, ekstrawagancki ślub”.

Belinda była dwa lata młodsza od Mitty Stoddard, a nikt nie wiedział, ile lat ma Charlie. Wkrótce okazało się, że Miss Mitty miała rację co do Trippa Ailesa, ale nie z tego powodu Val desperacko chciała z nią teraz nawiązać kontakt.

Val zastanawiała się, czy Miss Mitty, mieszkając w Georgii, wie w ogóle o tym, co się wydarzyło. Upadek BFC był szeroko omawiany w prasie na północnym wschodzie, pisał o tym nawet „Wall Street Journal”. Jednak w „Atlanta Constitution” czy innej lokalnej gazecie, którą czytała obecnie Miss Mitty, poświęcono tej sprawie pewnie zaledwie kilka linijek.

Val postanowiła, że nadal będzie próbowała nawiązać kontakt z Miss Mitty, a tymczasem dokończy sprzątanie, zanim zabierze się do tych cholernych dokumentów ojca. Jeśli jej ojciec miał jakąś metodę porządkowania papierów, jeszcze jej nie odkryła. Frank Bonnard był bez wątpienia błyskotliwy, ale niezbyt dobrze zorganizowany.

W zamyśleniu podrapała się w brodę, zostawiając na twarzy kolejną smugę brudu. Skoro dokumenty czekały tak długo, mogą jeszcze trochę

poczekać. Teraz musiała przedrzeć się przez te wszystkie lata brudu i zaniedbania – świeży jodłowy zapach zastąpił już inne, o wiele mniej przyjemne wonie, ale nadal było mu daleko do aromatu pierniczków i jaśminu, jakie Val zapamiętała sprzed lat.

– Do roboty, moja panno – powiedziała.

Jęknęła na myśl o myciu kolejnej ściany. No tak, zwlekała z tymi dokumentami. Jednak prędzej czy później dom będzie na tyle czysty, na ile jej się uda, a wtedy nie będzie odwrotu – będzie musiała przejrzeć te papiery. Val nie dopuszczała nawet myśli, że może znaleźć jakiś dowód winy ojca.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Kilka godzin później, gdy wszystkie meble i okna na parterze lśniły od czystości – przynajmniej od środka – Val padła na jedno z wyszorowanych kuchennych krzeseł, a na drugim położyła nogi. Sącząc chłodny sok warzywny, pomyślała z nadzieją, że w połączeniu z masłem orzechowym stanowi zbalansowaną dietę. Brzydka zielona lodówka pochodziła jeszcze pewnie z lat sześćdziesiątych. Była głośna i miejscami pordzewiała, ale przynajmniej teraz już czysta, na zewnątrz i w środku.

Marion obiecała, że tego dnia ktoś przyjdzie podłączyć jej telefon, i myśl ta sprawiała jej wielką ulgę. Nowy numer oznaczał, że nie będzie więcej napastliwych telefonów. Na razie musiała wychodzić z domu i stawać przy samej drodze, by chwycić na komórce najsłabszy sygnał. Jednak jutro będzie mogła już nawet podłączyć laptopa, odebrać pocztę i sprawdzić, czy w gazetach z Greenwich są jakieś wiadomości o interesującej ją sprawie. Potem musi napisać swoje CV. Niestety, jak dotąd prace, które wykonywała, przynosiły więcej satysfakcji niż pieniędzy.

Zaczęła się zastanawiać, ile musiałaby zapłacić za analizę dokumentacji ojca. Prawdopodobnie zbyt dużo. W jej sytuacji każdy wydatek stanowił problem. Zresztą, nawet gdyby ją było stać na wynajęcie kogoś, kto zanalizowałby dokumentację, wątpliwe, czy mogłaby powierzyć obcemu człowiekowi osobiste papiery ojca.

– Tato, nie wiem, co robić, musisz mi jakoś podpowiedzieć – szepnęła. Will Jordan był wprawdzie nadal podejrzany, ale Val czuła, że on znajdzie jakiś sposób obarczenia całą winą Franka Bonnarda. Dlaczego nie? Jej biedny ojciec nie mógł się przecież bronić.

Val z każdym dniem czuła się coraz bardziej zagubiona. Jeżeli będzie mieć szczęście i znajdzie dowód, który pomoże oczyścić ojca z zarzutów, może zostać oskarżona o dotychczasowe ukrywanie dowodów. Ten, kto wygrywa, przegrywa, pomyślała z goryczą.

Dopijając warzywny sok, otarła wierzchem brudnej ręki oczy, do których napłynęły łzy, i wstała, by sprawdzić, kto zajechał przed dom. Marion obiecała, że wpadnie.

Mrugając załzawionymi oczami, Val wyjrzała przez świeżo umyte okienko w górnej części drzwi wejściowych. Pomyślała, że to może być też monter telefoniczny.

To nie była Marion. Pojazd, który zaparkował przed domem, nie przypominał też samochodów obsługi sieci telefonicznej, jakie widywała wcześniej.

To nie była nawet furgonetka, lecz jakiś dziwny gruchot złożony z różnych części. Co do kierowcy...

Czyżby skądś go znała? Było coś znajomego w tych grubych, spłowiałych od słońca włosach, szerokich ramionach, które niemal rozsadały w szwach granatową wiatrówkę. Jej wzrok przesunął się niżej, na wąskie biodra, długie nogi, które wyglądały na świetnie umięśnione nawet w luźnych džinsach. Jej przyjaciółki zwykły określać takiego faceta jako niezły towar.

Zatrzymał się przy krzaku, który częściowo zakrywał tablicę ogłoszeniową o wynajmie. Osłonił dłonią oczy od słońca i obejrzał front domu. Nie tylko jego twarz wydawała jej się dziwnie znajoma, ale również jego ruchy – stopy osobno, jeden kciuk zaczepiony o kieszeń w džinsach. Czy gdzieś już go spotkała? Może na poczcie? Albo w sklepie

spożywczym? Te nieregularne, ostre rysy mogły się zatrzeć w jej pamięci, ale to, co określa się jako seksapil, nie umknęłoby uwagi żadnej kobiety.

Nawet ten jego dziwaczny samochód wydawał się znajomy, a nie zwracała przecież uwagi na auta. Jeździła wciąż tym samym, które ojciec podarował jej na dwudzieste szóste urodziny, ale sprzedała je dwa tygodnie wcześniej, by kupić większe, starsze i o wiele tańsze, dzięki czemu została jej jeszcze ładna sumka.

Z drugiej jednak strony trzeba przyznać, że nieczęsto widuje się rdzawobrazowy, a wcześniej chyba szary samochód, który wygląda jak złożony z kawałków znalezionych na wysypisku, w dodatku z żółtymi plastikowymi siedzeniami.

Val odsunęła się od okienka w drzwiach, nie chcąc, by przybysz zauważył, że mu się przygląda, gdyby podszedł bliżej. Ostatnio czuła taki dziwny niepokój, mając piętnaście lat. Założyła się wtedy, że poprosi pewnego siedemnastolatka do tańca, i omal nie zemdląca, gdy zgodził się z nią zatańczyć.

Przybysz niespiesznie zlustrował cały dom – wypaczone okiennice, połatany ganek, nieco wklęsłą linię szczytową dachu – prawie jakby oceniał, ile pracy trzeba włożyć w naprawy.

I wtedy Val zapaliło się światelko. To musi być ten facet „złota rączka”, którego obiecała jej przysłać Marion. Teraz trzeba się dowiedzieć, czy ją na niego stać.

– Na pewno mogę wynająć twój dom, jak tylko doprowadzi się go do porządku – powiedziała Marion. – Jest rosnący popyt na mieszkania o niskim standardzie. – A siedziba Grax należała do tej kategorii, jakkolwiek przykro było Val to przyznać. – Para, która ostatnio wynajmowała dom, miała w ramach rozliczenia dokonać w nim różnych napraw, ale tego nie

zrobiła. Dlatego teraz, zanim się dom wynajmie, trzeba trochę w niego zainwestować. Może rozejrzę się za jakimś tanim fachowcem?

Val pokiwała głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Błędne koło polegało na tym, że musiała wydać pieniądze, których nie miała, by zarobić pieniądze, których rozpaczliwie potrzebowała.

Podgumowane buty mężczyzny nie zrobiły żadnego hałasu na ganku. Val przełknęła ślinę, gdy zbliżał się do drzwi.

Dopiero gdy zastukał drugi raz, otworzyła.

– Słucham? – spytała.

– Panna Bonnard?

W pierwszej chwili zaniepokoiło ją, skąd zna jej nazwisko, ale uspokoiła się natychmiast na myśl, że pewnie podała mu je Marion. Miała nadzieję, że uprzedziła go również, że stać ją jedynie na podstawowe naprawy.

Skinęła głową. Byłoby lepiej, gdyby mówił wysokim nosowym głosem, lekko zaciągając. Niestety, jego głos był rozkoszniejszy od belgijskiej czekolady.

– Może pójdziemy od razu na tyły domu i pokażę, co przede wszystkim wymaga naprawy.

Nie przyjął jej sugestii, żeby okrążyć dom od zewnątrz, lecz wszedł do środka i rozejrzał się ciekawie. Zrobiło jej się głupio na myśl o zniszczonych, niepasujących do siebie meblach i wciąż jeszcze nierozpakowanych pudłach.

– Tędy proszę – powiedziała. – Przede wszystkim trzeba naprawić prysznic. Woda ledwie ciurka, a potem bardzo długo spływa z brodzika. – Obejrzała się przez ramię, prowadząc go holem. – Znasz się na hydraulice?

– Nie jestem hydraulikiem, ale umiem naprawić podstawowe rzeczy.

– Pani Kuvarky pewnie wspominała o tym, że chcę wynająć osobno sypialnię na tyłach domu. – Wcale o tym nie myślała, ale teraz, gdy wydała tyle na środki czystości, najmniejszy dochód byłby błogosławieństwem. – Dlatego chciałabym zacząć od tego właśnie pomieszczenia. Potem trzeba będzie naprawić bojler na wodę i okna. Może również dach. Łatanie, nie wymiana. – Jak dotąd, podczas jej pobytu nie padało, ale zauważyła parę podejrzanych plam na suficie.

– Będę musiał pojechać po narzędzia...

– No tak... oczywiście. To znaczy, napraw nie trzeba dokonywać natychmiast, ale...

Skinął głową, wydymając lekko usta. Zauroczone wpatrzyła się w niego, po czym przywołała się do porządku. Na tyłach domu panował przejmujący chłód. Drzwi miały takie same szpary jak frontowe. Naprawdę potrzebowała tego faceta – z praktycznych względów. Nie mogła wystraszyć go, zanim w ogóle się zgodzi przyjąć tę pracę.

Rzuciwszy okiem na brzydką małą łazienkę, przyjrzał się przylegającej doń sypialni. Val zlustrowała pokój, starając się ocenić go obiektywnie, okiem przybysza. Materac był zniszczony, ale teraz nie było jej stać na wymianę. Meble były stare, choć nie aż tak, by mogły zyskać szczytne miano antyków, jednak miały swój urok.

Pokręciła głową. Najpierw naprawy. Potem dekoracja wewnątrz, o ile w ogóle się tym zajmie.

– Mogę znieść jeden z grzejników i postawić tutaj, kiedy będziesz pracował. A tak a propos – czy one są kosztowne w eksploatacji?

– Sądzę, że tak, biorąc pod uwagę miejscowe ceny za prąd.

Westchnęła.

– Tego się właśnie obawiałam. W salonie jest piec olejowy, ale kiepsko grzeje. Jak ludzie radzili sobie kiedyś z zimnem?

– Bardzo długo w domach były paleniska. Poza tym kominki, kołdry – uśmiechnął się nagle i miało się wrażenie, jakby słońce wyjrzało nagle zza chmury. – No i noszono kalesony – dodał.

– No tak – bąknęła. – Tu były kiedyś dwa kominki, ale zostały zabite deskami. Kable niektórych elektrycznych grzejników zostały chyba pogryzione przez myszy, może to też sprawdzisz przy okazji – przerwała i klepiąc się leciutko koniuszkami palców po dolnej wardze, zastanawiała się, ile może mu zapłacić.

– Ile? – spytał, przerywając raptownie jej rozważania. Jego oczy miały kolor whiskey, tylko nie było w nich tyle ciepła. Właściwie miały dość chłodny wyraz.

– Za... wykonanie całej pracy? To chyba zależy od tego, co jest do zrobienia i ile czasu to zajmie? Nie wiem nawet, ile bierzesz za godzinę – odparła pośpiesznie, zastanawiając się, co znaczy jego dziwna mina.

– Pytałem, ile chcesz za wynajęcie tego pokoju? I na jakich warunkach?

Gdyby było w pobliżu jakieś krzesło, Val chętnie by na nie opadła. Ponieważ był tylko stołek na trzech nogach, zapadające się żelazne łóżko i dębowa komoda, oparła się o framugę drzwi, gapiąc się na przybysza z otwartą buzią.

– Normalną stawkę – bąknęła, jakby wiedziała, co to w ogóle znaczy.

– Mógłbym gotować.

O tak, jeśli ten facet umie gotować, chętnie zapłaci mu za to ekstra. Nie stać ją było na jądanie w restauracji, a miała już serdecznie dość masła orzechowego trzy razy dziennie.

– Cena jest do ustalenia – rzuciła, siląc się na swobodny ton.

Skinał głową, obrzucił pokój ostatnim spojrzeniem, po czym odwrócił się i ruszył w stronę drzwi wejściowych.

– Wychodzisz? – Pospieszyła za nim, mając ochotę błagać go, by został, i to niezupełnie z praktycznych powodów.

– Jadę po narzędzia. Będę za godzinę.

– A ile... ?

Zatrzymując się przy drzwiach, spojrzął na nią przez ramię.

– Tygodniowy wynajem w zamian za naprawę hydrauliki i inne mniejsze naprawy.

Wyszła za nim na zewnątrz.

– Czy w ramach umowy naprawisz też stary bojler i sprawdzisz, czy dach nie przecieka? – zawołała za nim.

Zamiast odpowiedzi, uniósł w górę rękę, wskoczył do samochodu i skręcił szybko na małą uliczkę zwaną Na Uboczu.

Stała przez kilka minut przed domem, skrzyżowawszy ręce, by się nieco ogrzać, i zastanawiała nad tym, co się właśnie stało. Czy naprawdę wynajęła faceta od napraw, „złotą rączkę”? Czy naprawdę wynajęła pokój na tyłach domu? Czyżby dobra wróżka machnęła różdżką i wyczarowała jej księcia, a może kogoś znacznie lepszego?

Zbyt rozkojarzona, by wrócić do pracy, Val pomyślała, że ten najemca – „złota rączka” może właściwie wcale nie wrócić. Nie zapytała nawet, jak się nazywa, a teraz wstydziła się iść ze swym telefonem komórkowym na skraj drogi i powiedzieć Marion, że wynajęła pracownika, którego nazwiska nie zna,

Gdzie ona miała rozum? Tak jakby nigdy nie zatrudniała wolontariuszy czy innych pracowników. Na tym między innymi polegała jej

praca – na eliminowaniu osób, które mogą sprawiać kłopoty. Aktywistów. W tych czasach, gdy działało się charytatywnie w jakiejś sprawie, zawsze znalazła się grupa przeciwników, która usiłowała bojkotować daną akcję.

Jeśli ten facet wróci, podpisze z nim umowę, ustalając warunki... No właśnie. Warunki wynajmu z możliwością korzystania z kuchni w zamian za pracę i gotowanie. Poprosi go również o referencje. O ile istniały jakieś zasady obowiązujące właścicieli i najemców, prawdopodobnie tutaj różniły się od innych. Tak jak wszystko. Pomyśleć tylko, że tu trzeba było jeździć na pocztę, by odebrać przesyłki!

Witaj w prawdziwym świecie, Kurczaczku. Tak właśnie nazywał ją Tripp, jej były narzeczony. Nienawidziła tego. Wiedział o tym i prawdopodobnie właśnie dlatego tak ją nazywał. Uwielbiał się z nią drażnić. Im bardziej próbował, tym zajadziej starała się nie dać sprowokować. To była taka gra, którą prowadzili. Nigdy nie czerpała z niej przyjemności.

Trzęsąc się z zimna, wycofała się do domu, w pobliże pieca olejowego. Prawie chciała, żeby ją Tripp teraz zobaczył. Zastanawiając się, czy dodać jeszcze jedną warstwę do jedwabnej koszulki, kaszmirowego sweterka i wełnianego kardigana, pomyślała tęsknie o gorącej wannie z garścią soli kąpielowych. Do tego mogłaby być jeszcze cicha muzyka, na przykład symfonia Sibeliusa, i ciepłe ręczniki na suszarce.

Odsuwając od siebie tę rozkoszną fantazję, wzięła plik kart informujących o zmianie adresu, znalazła pióro, notes i zwój znaczków, po czym usadowiła się przy stoliku do kawy. Tę sprawę mogła załatwić całkiem samodzielnie i skreślić ją ze swej listy zadań. Problem polegał na tym, że lista spraw do załatwienia wydłużała się szybciej, niż nadążała cokolwiek załatwić.

Pierwsze nazwisko w notesie wywołało na jej twarzy niechętny grymas. Ailes, Timothy III, znany jako Tripp. Absolwent prawa na Yale, który w wieku trzydziestu dwóch lat został młodszym partnerem w firmie prawniczej swego ojca. Palant, który ofiarował jej pierścionek zaręczynowy z dwukaratowym brylantem i poprosił o jego zwrot w niecały tydzień po wybuchu skandalu.

– Przepraszam, Kurczaczku – burknęła, wykreślając jego nazwisko i zaglądając na następną stronę.

Dentysty nie ma sensu informować o aktualnym miejscu pobytu, pewnie długo go nie zobaczy. Na szczęście niedawno naprawiła wszystkie ubytki i wybieliła sobie zęby.

Jej trzy najbliższe przyjaciółki – partnerki do gry w tenisa, brydża i powiernice, Felicity, Sandy i Melanie, unikały jej po wybuchu skandalu. Przybita wszystkim, co ją spotkało, a przede wszystkim śmiercią ojca, odczuła to bardzo boleśnie. Gdy zrobiły pierwszy przyjazny gest w jej kierunku, było już za późno. Odrętwiała z bólu, nadal w szoku, nie odpowiadała na ich telefony.

Teraz zaadresowała kartki do wszystkich trzech kobiet. Mogły na nie odpowiedzieć albo nie, to nie miało już dla niej znaczenia. Wątpliwe, by jeszcze kiedyś miała obracać się w tych samych kręgach co one.

– I wiecie co? – mruknęła, wpatrując się w nieaktualny kalendarz z latarnią morską wiszący krzywo na odległej ścianie. – Wcale mi już na tym nie zależy.

Przygotowała stosik kartek, po czym powędrowała do kuchni w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Miała do wyboru masło orzechowe albo ser i salsę na pełnoziarnistym chlebie.

Musi jak najprędzej znaleźć pracę. Zagłodzenie się to nie najlepszy pomysł, a nie umiała zebrać, przynajmniej nie dla siebie.

Ten facet nie zamierza wrócić. Powiedział, że jedzie po narzędzia, ale jak daleko się wybierał?

Mac wyszedł ze sklepu i wrzucił świeżo nabyte narzędzia na tył land cruisera. Postanowił wymeldować się z motelu, kupić coś do jedzenia i wrócić do lisiej nory.

Miał farta. Zamierzał zaaranżować jakieś przypadkowe spotkanie w najbliższych dwóch dniach, zdobyć zaufanie panny Bonnard i pozbierać strzępy informacji, które jej się wymkną.

Teraz wydawało mu się, że musi przygotować się na parę niespodzianek. Babka nie była taka, jak się spodziewał. Chyba że potrafiła tak świetnie grać. Śmiać mu się chciało na myśl, że chciała go odesłać do tylnych drzwi.

Gdy ostatni raz rozmawiał ze swym przyrodnim bratem, Will przekonywał go, że brak postępów w śledztwie jest spowodowany lokalną polityką, nieudolnością oraz miejscowymi interesami, co tworzyło dosyć niestrawny pasztet. Mac nie wiedział, do którego czynnika przyporządkować pannę Bonnard, ale bez wątpienia była jednym z graczy. Musiała być. Brak makijażu i smuga brudu na jej twarzy zbiły go z tropu, ale teraz zimna logika znów triumfowała.

Gdy widział ją ostatnio – wtedy, gdy zawiózł Willowi okulary – miała na sobie białe lniane spodnie, granatową koszulę i zieloną lnianą marynarkę. Włosy upięła w szykowną fryzurę z tyłu głowy, gdzie sterczały duże szylkretowe szpilki.

Dzisiejsza wersja – brudna twarz i włosy, które dawno nie widziały szczotki – była doprawdy zaskakująca. Zawsze gotów na nowe wyzwania,

Mac uznał, że jeszcze wiele musi się dowiedzieć, poczynając od odpowiedzi na pytanie, dlaczego rzekoma dziedziczka mieszka w wilgotnej norze zamiast zażywać kąpeli słonecznych i sączyć drinki z parasolką w jakimś modnym kurorcie. Najprawdopodobniej prowadziła sprytną rozgrywkę, na wypadek gdyby ktoś chciał ją namierzyć. Chociaż nie ogłaszała wszem i wobec swych planów, nie zrobiła też nic, by zatrzeć za sobą ślady.

Nie spodziewał się, że tak szybko uda mu się dostać do jej kryjówki, ale gdy pojechał obejrzeć dom i zobaczył ogłoszenie o wynajmie, w głowie miał gotowy plan. Propozycja pracy w charakterze „złotej rączki” była prezentem, choć pewnie będzie się musiał tłumaczyć, gdy zjawi się facet, którego oczekiwała. Jak będzie miał szczęście, spotka go przed nią i odeśle.

Tym razem wszedł do domu tylnymi drzwiami i zawołał głośno, by dać jej znać, że wrócił.

– Och, jak dobrze – powiedziała, idąc szybko krótkim korytarzem z rolką papierowych ręczników w ręku. Jej wersja roboczego ubrania przypomniła mu rozkładówkę z modą, którą widział w ostatnim dodatku niedzielnym. – Już się bałam, że zmieniłeś zdanie – powiedziała. – Czy zanim zaczniesz inne rzeczy, możesz mi pomóc przesunąć lodówkę?

Gdy jechał po narzędzia – przeważnie duplikaty tych, które zostawił w Mystic – była już dość umorusana i brudna, a teraz było jeszcze gorzej. Gdy jego wzrok spoczął na jej włosach, odgarnęła je z twarzy. Gruby, rozczochrany warkocz rozplatał się, a kilka luźnych kosmyków wiło się koło jej wysokich kości policzkowych.

– Lodówkę? Oczywiście. A potem naprawię prysznic.

Nie zamierzał zasugerować, że powinna się wykąpać, ale prawie tak wyszło. Tymczasem pochwycił jakiś świeży, korzenny zapach, który przypomniiał mu gorące noce w tropikach.

Odsunął lodówkę od ściany, a najwyraźniej nie robiono tego przez kilka dziesięcioleci. Zajrzała mu przez ramię i zadrżała z obrzydzenia. Potem powiedziała:

– Przyjechał monter telefoniczny, kiedy cię nie było. W razie gdybyś chciał gdzieś zadzwonić... Oczywiście zamiejscowe...

– Mam komórkę – przerwał jej z uśmiechem.

– I działa? – zdziwiła się. – Ja muszę z moją wychodzić aż na drogę, żeby złapać sygnał, a nawet wtedy przerywa.

Zostawił ją przy telefonie, skąd dzwoniła, podając swój nowy numer, i ruszył na tyły domu, pogwizdując pod nosem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Od pasa w dół jest bardzo apetyczny, pomyślała Val, patrząc na swego pracownika ukrytego od pasa w górę ponad otwartą klapą w suficie. Może to seksistowska obserwacja i pewnie to właśnie by jej zarzucił. Nie zamierzała wyrażać swoich spostrzeżeń na głos, ale kobieta musiałaby być ślepa, żeby tego nie zauważyć. Pracowali razem już półtora dnia. Właściwie nie zawsze razem, ale w tak małym domu trudno było ignorować obecność tego faceta. Ciągłe w coś pukał, walił młotkiem albo skrobał. Jakby tego było mało, ciągle pogwizdywał. Czy zdawał sobie sprawę, że koszmarnie fałszuje? Albo był głuchy jak pień, albo robił to specjalnie jej na złość. Ale dlaczego?

Jako hydraulik i stolarz sprawdzał się znakomicie. Gdy jednak poprosiła o sprawdzenie przewodów elektrycznych, poradził, by najęła fachowca. Obejrzał jednak małe grzejniki oraz urządzenia kuchenne i zapewnił, że mysz nie spowodowała żadnych poważnych uszkodzeń.

Val poprosiła go też o sprawdzenie, czy na strychu nie grasują myszy, bo w nocy ciągle słyszała podejrzanе skrobanie, a także o to, czy dach nie przecieka, gdyż na suficie na piętrze były podejrzanе plamy. Nalegała, że będzie przytrzymywać drabinę, gdyż była rozchwierutana, a nie chciała, by spadł i coś sobie zrobił, a potem oskarżył ją o dostarczenie wadliwego sprzętu. Pozew był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała.

Okazało się, że na strychu mieszkają wiewiórki, które udało mu się wypłoszyć.

– Zasłonię ocynkowaną siatką otwory, przez które wchodziły – zawołał z góry.

Godzinę wcześniej Val wyszła na ganek i postawiła do góry dnem wiadro, by obeschło. Właśnie wyczołgiwał się spod domu, gdzie wszedł, by sprawdzić, czy podłoga pod przeciekającym prysznicem nie przegniła.

– To niesamowite – oświadczył, otrzepując ręce i kolana.

Z trudem przełknęła ślinę, próbując pozbyć się wizji tego szczupłego, muskularnego ciała, wyłaniającego się niespodziewanie spod domu.

– Ale co?

– Obecnie domy przy plaży muszą być zabezpieczone od wiatru, przyływu i innych plag. Takie są przepisy. Ten dom został zbudowany, zanim je wymyślono. Stoi sobie po prostu na kilku palach nie wiadomo ile lat. Sześćdziesiąt? Sto?

– Kto wie? A poza tym, nie stoi przy plaży – zauważyła, zadowolona, że facet tak poważnie traktuje swoją pracę.

– Nieważne, inspektorzy są prawdziwymi skrupulantami, jeśli chodzi o takie rzeczy jak fundamenty czy odległość od poziomu morza. Czy wiedziałaś, że kilka dźwigarów pochodzi z wraku statku? Przypuszczam, że z połowy dziewiętnastego wieku.

No świetnie. Nie miała pojęcia, co to jest dźwigar, ale nie chciała, żeby jacyś wielbiciele historii obłożyli ją różnymi zakazami, po których nie będzie mogła nawet wynająć pokoju bez zezwolenia kongresu.

– Moja prababka prawdopodobnie odziedziczyła ten dom po swoim mężu. A może ojcu, nie wiem.

– W takich miejscach jak to bardzo często wykorzystuje się materiały wyrzucone przez morze. – Zimowe słońce ładnie oświetliło jego twarz. Gapiła się nań bez słowa, aż powiedział: – Nie widzę śladów termitów, ale może będziesz chciała wezwać fachowca, by to sprawdził. Jednak podłoga pod pralką częściowo przegniła, trzeba coś z tym zrobić.

– Nowa podłoga i tępiciel szkodników? – zaczęła się gorączkowo zastanawiać, ile to może kosztować, i spytała, czy trzeba wymienić całą podłogę.

– Najwyżej kawałek. Zjrzę do szopy, może znajdę tam coś, co się nada do naprawy. Albo, jeśli wolisz, możemy poszukać na plaży – posłał jej ten swój niespodziewany uśmiech, który trwał zaledwie parę sekund. Zaczęła go już wyczekiwać.

– Może najpierw sprawdzmy szopę – powiedziała. Wtedy właśnie znaleźli w szopie drabinę. On wygrzebał też kawałki drewna i z powrotem wpełzł pod dom, by naprawić podłogę.

Ten facet jest naprawdę niezły, myślała teraz. Pomimo wszystkich przygniatających ją trosk nadal potrafiła podziwiać prawdziwe męskie piękno. Pomyśleć tylko, jak silny jest pęd do przedłużania gatunku...

Ale tu nie ma mowy o czymś takim, zapewniła się w myślach, patrząc, jak Mac schodzi z trzęsącej się drabiny. Zanim wejdzie na dach, będzie musiała chyba kupić nową.

– Tak się cieszę, że naprawiłeś bojler i będę dziś mogła wymoczyć obolałe mięśnie w gorącej kąpieli, zamiast ochlapywać się letnią wodą – powiedziała, gdy składał drabinę.

Pomyślała, że po wpełzaniu pod dom i wspinaniu się na strych on też może być trochę obolały. Czy powinna zaproponować mu kąpiel?

Weź się w garść, Bonnard, upomniała się w duchu. Nie masz czasu na odgrywanie Lady Chatterly, nawet jeśli twój gajowy miałby na to ochotę.

– Wygląda na to, że tam wszystko w porządku – powiedział, wskazując na wejście w suficie prowadzące na strych. – Zauważyłem parę miejsc, które mogą przeciekać, głównie wokół komina. Prawdopodobnie

trzeba zmienić blacharkę dachową. Mogę się tym zająć, chyba że wolisz specjalistę.

– Nie, zajmij się tym.

Skinał głową. Nadal pracował na pokój i jak się okazało, utrzymanie. Poprzedniego dnia późnym popołudniem zrobili razem zakupy i podzielili się wydatkami. Mac ugotował kolację, a ona później pozmywała. Uważała, że to doskonale rozwiązanie. Przecież musiała coś jeść, a jej umiejętności kulinarne ograniczały się do przyrządzania tostów i zaparzania dobrej herbaty. Teraz musiała zadowolić się herbatą w torebkach, bo nie miała nawet imbryka.

Poprzedniego wieczoru zjedli na kolację wielki stek polany sosem sojowym i salsą z gotowanymi ziemniakami i sałatą. Niezbyt wyszukane danie, ale nie pamiętała, kiedy ostatnio coś jej tak smakowało.

Mac zasugerował kupno mikrofalówki. Powiedziała, że jeśli chce, może to zrobić, ale ona na razie nie będzie inwestować w żadne kuchenne urządzenia. Jej skromny budżet kurczył się w zastraszającym tempie, ale do tego już się nie przyznała.

Przejrzała w dwóch regionalnych gazetach ogłoszenia o pracy, sprawdzała nawet w biuletynie pocztowym, gdzie oferowano lekcje jazzu i pomoc w rozliczeniach podatkowych, a poszukiwano tylko zaginionego Jacka Russella, a nie pomocy domowej. Jeśli do końca tygodnia nic nie znajdzie, będzie musiała zapytać Marion, czy jej żartobliwie rzucona oferta pracy przy sprzątaniu domów jest aktualna. Do tego czasu będzie już nieźle wykwalifikowana.

Mac zadzwonił z jej nowo zainstalowanego telefonu do sklepu ze sprzętem żelaznym i wypytał o ceny materiałów do blacharki, a ona umyła ręce, by przygotować późny lunch. Ciekawe, ile może kosztować ta cała

blacharka, zastanawiała się. Nawet nie wiedziała, z czego to jest. Może z miedzi? Dach na domu ojca był stromy, rynny miał z solidnej miedzi, najlepszej, jaką można kupić, jak chełpił się Charlie.

To zabawne, ile rzeczy brała dotąd za coś oczywistego. Dachy, które nie przeciekają. Nieograniczona ilość ciepłej wody. Ciepło.

– Zmienię żarówkę nad gankiem i oczyszczę rynny, zanim odstawię drabinę – powiedział Mac, odkładając słuchawkę.

– Może później? – spytała. Jak Mac zajmie się pracą, ona też będzie się czuła zobowiązana coś zrobić. Zostały jej jeszcze dwa pokoje na górze, ale to nie było takie pilne. Jeden z nich nawet nie był umeblowany.

– Lepiej zrobię to od razu. Chyba że masz coś pilniejszego. Rynny mogą poczekać, aż naprawię dach.

W roztargnieniu starała się sobie przypomnieć, co jeszcze jest do zrobienia, a jej wzrok spoczął na jego plecach. Mył właśnie ręce przy zlewie, podwinięte rękawy odsłaniały muskularne, opalone przedramiona. Chyba nic nie miał pod tą koszulą.

– Nie ma pośpiechu – powiedziała.

– Prognoza na najbliższe dni nie przewiduje deszczu, sprawdzałem – odparł. – Ale ma być zimno.

Pomyślała sobie, że w domu takich temperatur jak tutaj o tej porze roku nie uważano wcale za niskie. Albo tutejsze zimno było inne, albo ona stała się mniej wytrzymała.

Gdy wycierał ręce w puszysty biały ręcznik z monogramem, nastawiła czajnik na herbatę. Woda miała brązowy odcień, ale żadnego posmaku. Gdyby nie nadawała się do picia, Marion by ją przecież uprzedziła. Wpisała wodę mineralną na listę zakupów, a potem ją wykreśliła. Wątpiła, czy Grax

przygotowywała swoją ice tea z wody Evian. Wyjęła pudełko z earl greyem i dwa kubki.

Na lunch jedli kanapki. Posmarowała swoją, a potem postawiła przed Makiem kubek z herbatą. Uniósł ze zdziwieniem brwi. Powinna najpierw zapytać, czego chce się napić, zamiast decydować za niego.

– Tu jest cukier – powiedziała, wskazując na staroświecką cukiernicę, którą znalazła na górnej półce w kredensie. Miała nadzieję, że należała do prababki.

– Nie, dziękuję, tak jest w porządku. – Jego mina mówiła co innego.

Jej były narzeczony, o którym postanowiła jak najszybciej zapomnieć, bardzo często odsyłał butelkę wina w restauracji, bo nie odpowiadało jego oczekiwaniom. Val nieraz widziała, jak kelner przewracał oczami, gdy Tripp podnosił władczo palec.

Co, u licha, widziała w tym facecie? Oprócz wyglądu George'a Clooneya, świetnego backhandu i nienaganych manier? Niezupełnie nienaganych, jak się okazało.

Sięgając po ostatni kawałek kanapki, spojrzała na silną rękę, która spoczywała na stole. Ciekawe, czy Mac grał kiedykolwiek w tenisa. Właściwie pomyślała też o innych rzeczach.

Wtedy przypomniała sobie, że jakoś nie było okazji, żeby poprosić go o referencje. Marion nie przysłałaby go jej, gdyby nie uważała, że jest go-dzien zaufania – ale zastanawiała się, skąd Mac pochodzi.

– Masz zamiar zamieszkać tu na stałe? – spytał.

– Jeszcze nie wiem... – odparła z wahaniem.

Nie sięgała myślą zbyt daleko w przyszłość. Rozglądając się po kuchni, w której hulały przeciągi, przypomniała sobie, kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy. Z perspektywy dziecka wszystko tu kojarzyło się z przygodą.

Wyspa, ten stary dom, modele statków, które, jak wyjaśniła Grax, robił jej mąż. Mój pradziadek, pomyślała Val, dziwiąc się, że nigdy nie zainteresowała się swymi przodkami.

Pamięta, że nad kominkiem stał mosiężny zegar, który zamiast bić, wydawał odgłos jak syrena na statku. Grax tłumaczyła właśnie Val, dlaczego zagwizdał osiem razy w środku popołudnia, kiedy jej matka przerwała, mówiąc, że muszą złapać prom do Ocracoke, żeby potem zdążyć na prom na Cedar Island, żeby zdążyć do Hilton Head, gdzie mają rezerwację.

– Mówiłam chyba, że ten dom zapisała mi prababka – powiedziała Val. Z wahaniem dodała: – Wcześniej byłam tu tylko raz, a teraz...

Skinał głową, jakby wiedział, co chce powiedzieć, choć ona sama nie bardzo wiedziała. Że jest wdzięczna, że ma miejsce, w którym może się schronić, gdy straciła dom? Że wstydzi się tego, iż zaniedbywała jedną z niewielu krewnych, jakich miała?

Patrząc, jak Mac popija wolno herbatę, która teraz musiała już ostygnąć, zastanawiała się, skąd on się tu wziął. Nie mówił z miejscowym akcentem. Może miał krewnych na wyspie – takich, którzy znali jej rodzinę.

A może nie? Anonimowość była jedną z zalet przebywania tutaj. Teraz, jeśli ktoś interesował się jej pochodzeniem, pytanie brzmiało, czy jest wnuczką pani Achsah, a nie czy jest córką Franka Bonnarda, a jeśli tak, to kiedy można spodziewać się, że zwróci zaginione pieniądze.

– Podobno wprowadziła się pani do domu Achsah – mówiono. Byli to ludzie, którzy znali Grax. Przyjaźni ludzie, wcale nie wścibscy, po prostu chcieli jakoś nawiązać znajomość.

– Tak. Prababka zostawiła mi dom w spadku, a teraz w nim mieszkam – odpowiadała Val z rosnącą dumą.

Cieszyła się, że jakoś przynależy do wyspy. Jej matka nie dbała o swe korzenie, ale dla Val miały coraz większe znaczenie. Jej ojciec był jedynakiem, a jego rodzice zginęli podczas bombardowania ambasady w latach osiemdziesiątych. W Greenwich nie miała już żadnej rodziny, nie miała nic. A tutaj? Czas pokaże.

Mac skończył swoją kanapkę z żytniego chleba z szynką, serem, sałatą, cebulą i salsą, po czym odsunął krzesło. Położył zgiętą nogę na kolanie drugiej, wziął kubek, popatrzył na letni płyn i odstawił kubek na stół.

– Jeszcze herbaty? Zagrzeję wody. – Podniosła się z wyszorowanego do czysta białego krzesła.

– Nie, dziękuję – powiedział, marszcząc brwi. Miała wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale nie wie, od czego zacząć.

Tylko niech nie mówi, że się wycofuje z naszego układu, pomyślała. Trzeba było jeszcze naprawić dach i podłogę pod pralką. No i oczywiście tę cholerną pralkę, nie stać ją było na nową.

Może zauważył, jak się na niego gapiła, gdy schodził z drabiny albo wypełzał spod domu? Może czuł się skrępowany, mieszkając z nią pod jednym dachem? W tak małym domu trudno było uniknąć bliskiego kontaktu. Choćby wtedy, gdy jednocześnie sięgali po coś do kredensu i ich dłonie się spotykały albo mijali się w wąskim korytarzu, gdy ona niosła kosz z bielizną, a on szedł z narzędziami.

Raz obudziła się w nocy i poszła do kuchni po szklankę mleka. Siedział tam na krześle zwróconym w stronę okna. Chociaż był odwrócony tyłem, a ona weszła bezszelestnie, wyczuł jej obecność i nie ruszając się z miejsca, spytał:

– Nie możesz spać? – Miał na sobie tylko bokserki.

– Chce mi się pić – mruknęła, po czym szybko nalała sobie mleka i wycofała się do swej sypialni, gdzie zapomniała je wypić. Przynajmniej jej myśli zaprzętały potem przyjemniejsze sprawy.

Żadne z nich nie wspomniało następnego dnia o tym nocnym spotkaniu. Musiał widzieć, że podoba się kobietom. Na szczęście byli oboje rozsądnymi dorosłymi, a nie smarkaczami ulegającymi impulsom I hormonom.

– Może ogrzejemy się trochę, zanim weźmiemy się znów do pracy – powiedział. Wspomniała wcześniej, że jest jej ciągle zimno, a kuchnia, po której hulały przeciągi, znajdowała się w północno-wschodniej części domu i była narażona na silne wiatry.

Jeśli zamierza być miły, to tym gorzej dla niej. Rzadko kusił ją sam seks, w końcu tego oczekiwał mężczyzna od każdej kobiety, z którą poszedł na więcej niż jedną randkę, a już na pewno wtedy, gdy dał jej pierścionek. Jej tak bardzo na tym nie zależało. Tripp zasugerował nawet, że przed ślubem powinna poprosić swego lekarza o zastosowanie terapii hormonalnej.

Była pewna, że wcale jej nie potrzebowała – w ciągu ostatnich dwóch dni nabrała co do tego absolutnej pewności. Oprócz seksapilu, którym Mac niedbale emanował, jakby nosił parę wytartych dżinsów, pociągała ją w nim jego siła. Nie ta agresywna siła typu „macho”, ale ciepła, łagodna. Miała ochotę wtulić się w jego silne ramiona i zapomnieć o wszystkim. Oczywiście, gdyby jej hormony miały wówczas coś do powiedzenia, nie walczyłaby z siłą natury. Nagle wydało jej się, że w małym domu panuje zbyt intymna atmosfera.

– Czy dałoby się naprawić dziś pralkę? – spytała nagle. – Mam dużo rzeczy do prania, ale oczywiście nie chcę ryzykować kolejnego zalania podłogi.

– Sprawdzę przewody.

– Dziękuję.

Czując, że musi jakoś rozładować swoje napięcie fizyczne, wstała i ruszyła w stronę salonu, odwracając głowę od pudła z dokumentacją, która wciąż na nią czekała.

Poszedł za nią i zatrzymał się w otwartych drzwiach. W małym pokoiku było bardzo ciepło. Gdyby był tam kominek, omijałaby go szerokim łukiem, ale w starym cuchnącym piecyku nie było krzty romantyzmu.

– Już wysprzątałam wszystkie nadające się do mieszkania części domu, więc chyba mogę rozpakować się do końca – powiedziała. Zostały jej jeszcze dwa pudła – w jednym było mydło i powidło, w drugim dokumenty.

– Trzeba w czymś pomóc?

– Nie, dziękuję... To takie tam...

Owszem, potrzebowała pomocy, ale wątpiła, czy jego talenty obejmowały też księgowość i księgi rachunkowe. Ona bez wątplenia nie miała o tym wszystkim pojęcia. Z tego, co zdążyła się zorientować, większość dokumentów powinna być zniszczona miesiące, a może lata temu. Były to jakieś poświadczenia bankowe dla ludzi, o których nigdy nie słyszała. Pozostałe papiery też nie wyglądały na związane z BFC. Wcześniej czy później będzie musiała się przez nie przekopać, ale pewnie nawet jeśli natrafi na jakiś dowód, to go nie zauważy. Wciąż zadawała sobie w myślach pytanie, dlaczego ojciec kazał jej zabrać z gabinetu właśnie te dokumenty?

Zgodnie z jego instrukcjami, zabrała tylko teczki nieoznakowane, a te ułożone alfabetycznie zostawiła nietknięte.

Może coś jej się pomyliło? Była tego dnia taka oszołomiona, może źle zrozumiała instrukcje ojca?

Westchnęła i wpatrzyła się w piecyk, którego wykończenie miało naśladować słoje drewna, co nagle wydało jej się tak absurdalne, że zachichotała.

– Coś śmiesznego?

– Ten piecyk. – Skinęła głową w stronę brzydkiego metalowego pudełka tkwiącego na brązowej metalowej podstawie przed zabitym deskami kominkiem. – To ma być niby drewno pekanowe czy palisander?

Mac zerknął na nią i zobaczył, że mruga szybko, by pozbyć się łez napływających do oczu, ale nic nie powiedział.

– Te spaliny – mruknęła. – Co trzeba zrobić, by pozbyć się tego piecyka i znów uruchomić kominek?

– Przede wszystkim zmienić polisę ubezpieczeniową – odparł i pociągnął nosem. Spalin prawie nie było czuć. Panna była przewrażliwiona. Zbyt dużo stresów w krótkim czasie, możliwe, że grozi jej załamanie nerwowe.

Ku swemu zaskoczeniu odkrył, że wcale nie chce, by się załamała. Im dłużej przebywał w jej towarzystwie, tym więcej niepotrzebnych myśli przychodziło mu do głowy.

Poprzedniego wieczora zadzwonił Will, by spytać, czy udało mu się czegoś dowiedzieć.

– Muszę ci coś powiedzieć – dodał. – Macy odeszła ode mnie.

Powiedziała, że jej adwokat się ze mną skontaktuje, więc to raczej oficjalne rozstanie.

– Oj, to musi ci być ciężko, chłopie – mruknął pocieszająco Mac. A co niby miał powiedzieć? Gratulacje?

– No tak, jakbym potrzebował kolejnego prawnika w swoim życiu – mruknął ponuro brat.

Mac przyglądał się kobiecie, która stała plecami do piecyka i pocierała bąbel, który jej się zrobił na kciuku.

– Lepiej tego nie ruszać – powiedział. – Gdzie masz apteczkę? Trzeba to jakoś zabezpieczyć.

– Zapomniałam zabrać – odparła, uśmiechając się lekko. Przygryzła dolną wargę i przestała skubać palec. – Chyba uszczelnię tu jeszcze bardziej okna, zanim się wezmę do tych pokojów na górze. Najpierw przygotowałam swój pokój i łazienkę, ale pozostałe pokoje trzymam zamknięte.

Mógł powiedzieć, że jej zabezpieczenia niewiele dają, bo zostawiła wielkie szpary, ale zamiast tego zaproponował:

– Może ja to dokończę. Mogę sięgnąć wyżej, nie stając na niczym. – Pomyślał, że szpary, które pozostawiła, mogą posłużyć jako wywietrzniki.

Poza tym nie chciał patrzeć, jak balansuje na jednym z tych rozchybotanych kuchennych krzeseł, a jej zgrabny tyłeczek znajduje się na wysokości jego wzroku. Zbyt dobrze pamiętał historie o syrenach, które wiodły żeglarzy na śmiertelnie niebezpieczne manowce.

– Nigdy nie wspominałeś, skąd pochodzisz – odważyła się zapytać Val kilka godzin później, gdy wytarła ostatni talerz i wstawiła go do kredensu. Naczynia były przeważnie tandetne i brzydkie. Tylko kilka z nich miało delikatny wzorek, który pamiętała ze swej jedynej wizyty.

Dopóki przebywali razem w domu, warto się było czegoś o nim dowiedzieć. Zaczynała podejrzewać, że nie jest zwyczajnym pracownikiem fizycznym. Czasami mówił rzeczy, które wskazywały na to, że jest

wykształcony. Może jest bezrobotnym wykładowcą, który wszedł z kimś w konflikt i musiał rzucić pracę?

– Z Nowej Anglii – odparł. – Głównie mieszkałem na wybrzeżu.

– Ja jestem z Connecticut, co za zbieg okoliczności. Dawno jesteś na wyspie?

– Nie – odparł tylko.

– Ja też. Właściwie to wprowadziłam się tuż przed twoim przybyciem. Całe szczęście, że Marion cię znalazła, bo obawiała się, że wszyscy fachowcy zajęci są przy tych wszystkich domach, które buduje się na lato.

Zrobił dziwną minę, ale natychmiast odparł:

– Szczęśliwie się złożyło, że akurat byłem wolny.

– Tak, miałam szczęście.

Im dłużej przebywała w jego towarzystwie, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Mac jest bardziej intrygujący, niż się wydaje. A przecież i tak od samego początku wydawał się fascynujący.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, podczas gdy ona wycierała stół i blaty. Porównywali wybrzeże Nowej Anglii ze środkowoatlantyckim. Val wsłuchiwała się w jego krótkie wypowiedzi, próbując go lepiej wy badać. Gdy Mac zmienił temat i wspomniał o zmianie pogody, powiedziała:

– Może dobrze byłoby sprawdzić olej w zbiorniku, jeśli wiesz, jak to się robi. Nie chciałabym być wydana na pastwę tych małych grzejników.

– Sprawdzę następnym razem, kiedy wyjdę na dwór.

Do niedawna ogrzewanie i klimatyzację Val uważała za rzecz oczywistą, tak jak wiele innych. Jak pomyśli, ile ojciec wydał na jej wykształcenie, poczynając od prywatnej szkoły z internatem, a na studiach kończąc, dochodzi do wniosku, że to były raczej zmarnowane pieniądze. Prawdopodobnie mogłaby teraz kandydować do jednego z tych

telewizyjnych reality show. Żyjąca pod kloszem kobieta, licząca się z konwenansami, wypada z gniazda i trafia w szpony prawdziwego życia.

W stosunku do przedstawicieli warstw mniej uprzywilejowanych społecznie Tripp używał zwykle określenia „mali ludzie”, jakby niższe niż on dochody osiągały jakieś stworzenia innego gatunku. Zawsze ją to irytowało, ale starała się nie zwracać na to uwagi. Tripp miał ambicje polityczne, chciał zostać „mistrzem małych ludzi”.

Nic dziwnego, że tak szybko z nią zerwał, myślała teraz, bardziej z rozbawieniem niż bólem. Skandal, który wiązał się ze stratą majątku i pozycji społecznej, a do tego niedoszły teść, który zmarł w więzieniu oskarżony o malwersacje we własnej firmie, nie pasowały do ambitnego polityka.

Z drugiej jednak strony należała teraz do „małych ludzi”, którym Tripp rzekomo pragnął pomagać. Czy mógłby pomóc jej nauczyć się używać pralki tak, by nie zalać połowy domu? Albo jak używać szczotki i mopa, nie robiąc sobie gigantycznych bąbli na palcach? Albo smażyć bekon tak, by nie włączać alarmu przeciwpożarowego?

Nagle uświadomiła sobie, że Mac uważnie jej się przygląda.

– O co chodzi? – spytała ostro. Podniósł ręce w geście poddania się.

– Nic, nic... Miałaś taką posępną minę.

– Myślałam o... swoich meblach.

Pokiwał powoli głową, jakby zastanawiał się, czy Val ma równo pod sufitem.

– No cóż, musisz przyznać, że są dość paskudne.

– Widziałem lepsze – przyznał, a zanim zdążyła coś powiedzieć, dodał: – Ale gorsze również. Nie są wcale takie złe. Przynajmniej wygodne... niektóre.

– Ale w najbliższej przyszłości muszę coś zmienić, zaczynając od materaców i sprężyn w łóżkach.

To znaczy, jeśli Marion nadal potrzebuje kogoś do sprzątanía domów.

– Naprawię te łóżka, jeśli chcesz. Wystarczą płyty ze sklejki. A tak przy okazji, trzeba kupić nowe baterie do wykrywacza dymu w korytarzu.

– Wpisz na listę. – Wytarła plamkę na blacie z większym nakładem energii, niż tego wymagała. – Myślę, że będzie lepiej, jak od tej pory to ty będziesz smażył bekon.

Uśmiechnął się, a ona także się rozchmurzyła. Jego uśmiechy były zaraźliwe. Przyszło jej do głowy, że spodobałby się Miss Mitty, a ona nigdy nie myliła się co do ludzi.

Wieczorem Val przejrzała teczkę pełną rachunków za usługi ogrodnicze, hydrauliczne i nowy komplet opon, datowane przeważnie od dwóch do dwunastu lat wstecz.

Na większości widniały podpisy ojca. Papiery były bez znaczenia, widniało na nich mnóstwo cyfr, które nic nie wnosiły do sprawy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zmęczona bezowocnymi poszukiwaniami, Val udała się do kuchni, żeby zjeść na pocieszenie coś tuczącego i grzesznie dekadentckiego. Z braku laku antidotum na frustrację mogłoby stanowić masło orzechowe z syropem czekoladowym, ale nie miała syropu.

W kuchni zastała Maca, który klęczał przy zlewie, a wokół niego leżały rozłożone narzędzia i rurki. Przystanęła w drzwiach i gapiała się na niego.

– Tak? – spytał, spoglądając przez ramię.

– Nic. Pomyślałam, że możemy sobie zrobić przerwę na herbatę pomiędzy kolejnymi zadaniami.

Odsuwając się od zlewu, uderzył się w głowę, zaklął pod nosem i spytał:

– A jesteśmy pomiędzy?

– Ja tak. Właśnie przekopałam się przez dwanaście lat nieważnych rachunków za dom, który nawet nie jest moją własnością. Nie miałam pojęcia, że hydraulicy tyle sobie każą płacić. Czy aby na pewno mogę sobie na ciebie pozwolić?

Siedząc w kucki na podłodze, uśmiechnął się do niej szeroko.

– To zależy. Jak sobie radzisz z kluczem francuskim?

– Tak samo jak z patelnią.

– Aha, czyli świetnie – zachichotał, po czym jednym płynnym ruchem podniósł się z podłogi i znalazł się kilka centymetrów od niej.

Poczła zapach męskiego potu z czystego ciała pomieszany z zapachem proszku do prania, który kupiła, bo obiecywał rezultaty świeże jak słońce".

– Tak, każdy ma jakieś ukryte talenty.

Jego oczy rzucały iskierki jak polerowany bursztyn.

– Możesz się jakimś pochwalić?

Zrobiła krok w tył i wpadła na krzesło. Złapał ją za rękę, zanim straciła równowagę.

– Niech zgadnę – powiedział, szybko stawiając ją do pionu, przyciągnąwszy ku sobie. – Jesteś baletnicą, tak?

Nie, jest skończoną idiotką. Słyszała wcześniej określenie „odmózdżyć”, ale nigdy wcześniej nie doświadczyła tego osobiście. Odsunęła się od Maca, a on ją wypuścił z objęć, patrząc tak, jakby wiedział, jak działa na nią jego dotyk.

– Skąd wiesz? – Jak się potkniesz, najlepiej się powyglupiać. – Ćwiczyłam przez trzy lata, od piątego roku życia. – Przyjęła postawę baletową. – Byłam tą, której się zawsze plątały nogi i którą zawsze odsyłano do ostatniego rzędu, bo nie nadażałam za resztą.

Roześmiał się, a o to jej przecież chodziło i niezręczny moment minął. Musi koniecznie unikać jego dotyku. Traktować go, jakby był trującym bluszczem.

– A jakie ty masz talenty? Chyba jesteś muzykiem, co? – Odrobina sarkazmu nie zaszkodzi. – Słyszałam, jak gwizdzesz.

– Niestety w tej dziedzinie poniosłem porażkę – przyznał z uśmiechem. – Grałem na grzebieniu w czteroosobowym zespole, kiedy byłem w siódmej klasie. Chciałem być jednym z Bee Geesów. Niestety agent nigdy do mnie nie zadzwonił.

– A więc niechętnie przekwalifikowałeś się na hydraulika – i oboje się roześmiali.

– Między innymi. A propos hydrauliki... – powiedział, wciąż rozbawionym głosem.

Wcale nie miała ochoty słuchać o hydraulice, o wiele bardziej interesowało ją, co było „między innymi”.

– Ale wyjdźmy na chwilę z domu, dobrze? Frontowy ganek jest teraz w słońcu i osłonięty od wiatru.

Kuchnia była bez wątpienia za mała. Cały dom był za mały. Być może nawet cała wyspa była zbyt mała, by mogła zignorować jego obecność.

Omijając huśtawkę na ganku, jakby się co do tego umówili, zajęli dwa wysłużone fotele wiklinowe, opierając stopy o balustradę. Po drugiej stronie drogi był mały cmentarz, za którym ciągnęły się mokradła i karłowaty nadmorski las. Dwie białe czaple krążyły leniwie nad sitowiem, po czym usiadły na bladych gałęziach drzewa w zatoce. Niekrepujące milczenie trwało dość długo.

– Na wakacje jeździłam zwykle na wyspę Mount Desert – powiedziała w zamyśleniu. – Dzień Dziękczynienia spędzaliśmy w Hilton Head, a Boże Narodzenie na wyspie Captiva, a czasem na Bermudach.

Zwykle umiała sprawić, że ludzie czuli się przy niej swobodnie, otwierali się. Gdy przyjmowała ludzi do pracy, potrafiła się zorientować, czy nadają się na dane stanowisko. Nawet wśród ochotników biorących udział w akcjach charytatywnych zdarzali się ludzie nieodpowiedni.

Skinał głową, ale się nie odezwał. Była ciekawa, gdzie on spędzał wakacje i czy je w ogóle miewał. Może to właśnie były jego wakacje?

– Moja prababka jest tam pochowana – powiedziała, wskazując cmentarzyk. – Pewnie jacyś inni krewni również. – Świadoma, jak musi to zabrzmieć, dodała: – Chodzi o to, że niestety nie znałam żadnego z moich pradziadków. – Patrząc w bok, dodała: – Właściwie to nie znałam też prawie

swojej matki... – Poczula się zażenowana. Nigdy nie rozmawiała z obcymi o sprawach osobistych. – Ale przepraszam, chciałeś powiedzieć mi coś o hydraulice w domu –dodała szybko.

Zamiast podchwycić zmianę tematu, odparł w zamyśleniu:

– Nie wiem, czy dziecko w ogóle może znać rodzica – członka swojej rodziny. To znaczy... nie obiektywnie.

– Czy to przemawia MacBride psycholog, czy MacBride filozof? – spytała, a zanim zdążył się odezwać, dodała: – Wróćmy do hydrauliki, dobrze? Miałeś powiedzieć mi, co tam nawala.

Rzeczywiście, może sobie pogratulować opanowania. Policzki paliły ją ze wstydu, i mogła winić za to tylko siebie. Ostatnio czuła się równie zażenowana, gdy wylała kieliszek wina na spodnie chłopaka, z którym była na randce, a potem zaczęła je wycierać serwetką.

– Po pierwsze, trzeba opróżnić szambo – oświadczył.

– Co takiego? – Jedna z jej stóp zsunęła się z balustradki.

– Po drugie, rury są stare i prawdopodobnie zaczną przeciekać, o ile już nie przeciekają. Kwaśna woda niszczy miedź.

– Super. Aż się boję pytać, czy coś jeszcze...

– Za rok, dwa trzeba będzie je zmienić na rury plastikowe.

Spojrzała w niebo. Znikąd pomocy. Potem skrzywiła się, spojrzawszy na niegdyś biały but sportowy oparty o balustradkę obok jego ciemnego buciora.

– Potrzebna jest też nowa pompa głębinowa.

– Nowa pompa? – Jej drugi but spadł na podłogę, gdy raptownie wyprostowała się w fotelu.

– Bez paniki. Prawdopodobnie wytrzyma jeszcze kilka miesięcy. Chociaż równie dobrze może nawalić choćby jutro. Chyba przecieka zawór przy podstawie.

– Zawór przy podstawie... – powtórzyła jak echo, zastanawiając się, ile to wszystko może kosztować. – Cóż, nie będę mogła powiedzieć, że mnie nie ostrzegałeś – powiedziała dziarsko, walcząc z narastającym przygnębieniem. W ciągu ostatnich miesięcy przywykła do częstej zmiany nastroju, ale stany depresyjne ostatnio zaczęły dominować.

– Hej, to nic wielkiego... – powiedział pocieszająco Mac i przykrył jej chłodną dłoń spoczywającą na oparciu fotela swoją ręką. Miał ciepłą dłoń o długich palcach i choć wykonywał tyle prac w domu, jego paznokcie były w o wiele lepszym stanie niż jej.

Może dla niego to nie było „nic wielkiego”, ale dla niej... Była bez pracy, dom się rozpadał, a do tego jeszcze obok siedział mężczyzna, którego obecności nie potrafiła ignorować, tak jak trudno byłoby jej zignorować tsunami.

Jednak on nie musiał o tym wszystkim wiedzieć. Jej problemy były wyłącznie jej problemami. Wysunęła rękę spod jego dłoni, wstała i ruszając w stronę domu, powiedziała:

– Będę w salonie, gdybyś potrzebował pomocy przy zainstalowaniu zlewu.

Gdy znalazła się za drzwiami, nabrała głęboko powietrza, żeby się uspokoić. No dobrze, zdradziła się z tym, że pochodzi z dysfunkcyjnej rodziny. Słyszała wiele razy, jak na przyjęciach mówiono o bardziej osobistych rzeczach. Kto kogo z kim zdradza, kto miał właśnie usuwane jajniki, a komu wycieka silikonowa wkładka powiększająca biust.

Gdy weszła do salonu, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła jej się w oczy, były pudła z dokumentami. Przypomniła sobie, z ilu gratów musiała zrezygnować, by zmieścić jej się do samochodu, oczywiście oprócz rzeczy niezbędnych. Obrazek z Wenecji, który wisiał w jadalni, szeszlony z pokoju porannego, gdzie lubiła siadywać z jednym z romansów Belindy, gdy miała już dość czytania szesnastowiecznych poetów albo esejów o twórczych tradycjach kultur ludowych w Appalachach.

Zostawiła też fortepian. Nawet gdyby wynajęła samochód transportowy i tak nie miałyby gdzie go tutaj postawić. Zresztą na wyspie nie było pewnie stroiciela. Pamiętała, jak ojciec grywał czasem na nim różne proste melodie, głównie stare piosenki z lat czterdziestych. Kiedyś na święta podarowała mu kolekcję CD z muzyką z tego okresu, ale nie wie, czy później je grywał. Była zbyt zajęta swoją pracą w Chicago, a potem w Nowym Jorku.

O nie, nie będzie płakać! Nie ma nic gorszego niż uzalanie się nad sobą. Zwykle w takich chwilach myślała o różnych kobietach doświadczonych przez życie, które dawały sobie radę mimo przeciwności. Miss Mitty była koronnym przykładem. Nigdy nie wyszła za mąż, jej jedyną krewną była siostrzenica mieszkająca w Georgii, której nie widziała przez wiele lat, a jednak potrafiła zbudować sobie satysfakcjonujące życie.

Była też Grax, która wcześniej owdowiała, potem jej jedyny syn zmarł młodo, a jedyna wnuczka ją ignorowała. Jednak wszyscy ludzie, których do tej pory poznała na wyspie, uważali Achsah Dozier za swą przyjaciółkę. Uprawiała ogród, chodziła do kościoła, a nawet na rok przed śmiercią zrobiła kurs prawa jazdy dla seniorów, choć nie miała już wtedy samochodu. Zawsze było coś, co ją interesowało. Mieszkała sama, ale nie była samotna.

Val nie może być gorsza niż te dwie kobiety, które były niezależne, zanim niezależność kobiet stała się oczywistością.

Wracając od domu tylnym wejściem, Mac zerknął na pudła przeznaczone na makulaturę. Jednak to nie kartonowe opakowania przyciągnęły jego uwagę, lecz papiery leżące w jednym z nich, których nawet nie starała się ukryć, co mogło oznaczać, że nie ma nic do ukrycia, albo wręcz przeciwnie.

W tych, które udało mu się przejrzeć do tej pory, gdy Val wyszła z domu, nie znalazł nic podejrzanego. Nie czuł się zbyt komfortowo, szperając w tych papierach, a poza tym zdawał sobie sprawę, że niełatwo mu będzie znaleźć to, czego szuka. Prawdopodobnie łatwiej było namierzyć szesnastowieczne wraki okrętów niż wysledzić zagraniczne konta bankowe.

Był biegły w odczytywaniu przekazów historycznych dotyczących okrętów, ale księgowość to zupełnie inna sprawa. Poza tym trzeba znać się na przestępstwach finansowych i dochodzeniach sądowych. Gdyby nawet znalazł coś wyglądającego na dowód nadużycia finansowego, musiałby go najpierw pokazać odpowiednim władzom, w nadziei, że to właśnie to, czego potrzebuje, by udowodnić niewinność brata.

To, że coraz bardziej podobała mu się jego główna podejrzana, nie ułatwiało mu myszkowania za jej plecami. Wciąż musiał przypominać sobie, że kanciarze potrafią dobrze się maskować i dlatego wykrywanie przestępstw jest takie trudne. To, że Val Bonnard była zabawna, seksowna i świetnie znosiła trudną sytuację, w jakiej się znalazła, nie znaczyło jeszcze, że jest niewinna.

Ale nie oznaczało także, że jest winna, przyznał niechętnie. Jednak logicznie rzecz biorąc, wszystko wskazywało na to, że zaszyła się w tej

dziurze, czekając, aż skandal przycichnie, by potem dać nogę w jakieś fajne miejsce, gdzie ukryła forszę.

Od kiedy zamieszkał w domu Val, Mac codziennie zdawał bratu relację. Poprzedniego wieczoru przyznał, że sprawy nie posuwają się tak szybko, jak oczekiwał.

– Słuchaj, obaj wiemy, że przyjeżdżając tutaj, spodziewałem się, że zastanę naszą główną podejrzaną w luksusowej willi z oknami wychodzącymi na plażę, basenem i służbą – przyznał pierwszego wieczoru, gdy Val poszła na górę. Zaczekał jeszcze trochę, aż zaśnie, a potem wyszedł z domu, zanim zadzwonił.

– Ale mówisz, że to jakaś ruina?

– Tak, zgodnie z miejscowymi stawkami posiadłość jest warta najwyżej pięćdziesiąt tysięcy. Dom ledwie się trzyma. Ktoś ma dla mnie sprawdzić, czy ona ma jakieś powiązania z deweloperami działającymi w tej okolicy. Na razie nic na to nie wskazuje.

– Szukaj dalej, dobra? Cała moja nadzieja, że tam coś znajdziesz, chyba że nagle pojawi się ktoś inny, z jeszcze dymiącym rewolwerem.

Obaj wiedzieli, że to mało prawdopodobne, bo śledztwo utknęło w miejscu z braku świeżych dowodów.

– Jeżeli ona daje tu przedstawienie i udaje, robi to naprawdę dobrze – powiedział bratu poprzedniego wieczora.

– Wiesz... kobiety to potrafią... – odparł smętnie Will.

Mac powstrzymał się taktownie od zrobienia jakiejś uwagi na temat Macy. Nie wspomniał też o kobiecie, z którą był niegdyś krótko zaręczony, a rzuciła go dla bogatego przystojniaka. Ponieważ on nie zaliczał się do tej kategorii, życzył jej szczęścia i poleciał na Azory, czując się bardziej wolny niż kiedykolwiek.

Val spojrzała chmurnie na dokumenty, po czym postawiła na stoliku do kawy ostatnie pudło z drobiazgami, jakie jej pozostało do rozpakowania. Ociągała się z dalszym przeglądaniem papierów, bo dotychczasowe poszukiwania nie przyniosły żadnych efektów. Jeśli w tamtych świstkach, które obejrzała, było coś znaczącego, to chyba napisano to atramentem sympatycznym. Na odwrocie, a nawet na głównej stronie starych rachunków, osobistych zaświadczeń bankowych i przestarzałych oświadczeń maklerskich, znajdowała nabazgrane numery telefonów, inicjały i niejasne notatki. Pełniąc funkcję menedżera funduszu podczas kilku dużych akcji charytatywnych, Val przekonała się, jak ważna jest uporządkowana dokumentacja. Jej ojciec, pomimo swych fakultetów predestynujących do prowadzenia interesów, musiał opuścić tę lekcję.

Z westchnieniem otworzyła pudło stojące na stoliku i wyjęła z niego porcelanową figurkę baletnicy. Dostała ją od ojca po swym pierwszym baletowym występie szkolnym, zanim zorientowano się, że jeśli ma jakieś talenty, to w innej dziedzinie. Miała dobry słuch, ale nie sięgał aż do stóp – tak brzmiał ich wspólny dowcip.

Teraz odpakowała baletniczkę i postawiła ją na obramowaniu kominka. Potem wyjęła fotografie w ramach skrzętnie owinięte w szal przywieziony niegdyś ze Szkocji. Przez chwilę studiowała zdjęcia rodziców robione w latach pięćdziesiątych, wkrótce po tym, jak się pobrali. Val zawsze uważała, że wyglądają jak Sean Connery i Greta Garbo. Uroda matki nadał przypominała jej chłodną elegancję Garbo. Val nie widziała Loli Bonnard, czy jakkolwiek się teraz nazywała, od wielu lat. Ostatnio spotkały się na lunchu, gdy Lola zatrzymała się w Nowym Jorku w drodze z Londynu do San Francisco. Patrząc na fotografie, szepnęła: „Cześć, mamó, cześć, tato. Nie zgadlibyście, gdzie teraz jestem”.

Potem wyjęła mały olejny obrazek, który zawsze bardzo lubiła. Większe obrazy zostały sprzedane, ale ten sobie zostawiła. Może powiesić go tam, gdzie wisi zeszłoroczny kalendarz z latarnią morską, choć pewnie zginie na tej wielkiej ścianie. Musi znaleźć jeszcze coś, co można będzie powiesić. Może jakieś ryciny albo sztychy? Jeśli nie będzie jej na to stać, wystarczą dobre reprodukcje. Uświadomiła sobie, że zaczyna myśleć już o przyszłości, a nie tylko o chwili obecnej.

Przez kolejną godzinę odpakowywała pamiątki, które ze sobą przywiozła, i szukała dla nich miejsca, oswajała dzięki nim przestrzeń. Wsłuchiwała się też w różne odgłosy, wskazujące na to, co robi właśnie Mac. Nie dlatego, że zobowiązał się pracować osiem godzin dziennie, lecz że jego obecność dodawała jej otuchy. Gdy był blisko, działał na nią zbyt silnie, ale kiedy po prostu czuła jego obecność, czuła się... bezpiecznie. Swojsko. Tak jak mogłaby czuć się z mężem. Szybko skarciła się w myślach za takie wyobrażenia. Lepiej będzie, jak skoncentruje się na szambie i starych rurach.

Mac stanął w drzwiach, gdy wyjęła ostatnią rzecz z pudła. Było to pudełko z nowiuteńkimi piłkami tenisowymi. Po co, u licha, zabrała coś tak bezużytecznego? Zapomniała za to zabrać rakiety, która została w klubie, ale to i tak nie miało już teraz znaczenia.

– Jacyś chętni do gry w tenisa? – spytała żartobliwie.

– Nie mój sport – pokręcił głową z uśmiechem. – Pogoda psuje się szybciej, niż oczekiwałem. Może, zanim całkiem się zaciągnie, przejdziemy się po plaży i obejrzymy zachód słońca?

– Żartujesz?

– Nie, musisz sobie zrobić przerwę. Siedzisz tu wystarczająco długo.

Nie aż tak, by odzyskać równowagę, pomyślała. Ledwie pojawił się w drzwiach, zapomniała, co miała zamiar robić. Ale rzeczywiście szybki spacer albo nawet bieg byłby wskazany. Chociaż spacer o zachodzie słońca po plaży z facetem, który obezwładnia ją jednym spojrzeniem, był dość niebezpieczny.

– Ubierz się ciepło. Jest chłodniej, niż się wydaje.

– Za pięć minut będę gotowa – zapewniła, zastanawiając się, czy kilka kolejnych warstw ubrań zabezpieczy ją przed wpływem tego mężczyzny.

Zamiast skierować swój pojazd z napędem na cztery koła na plażę, Mac skręcił na szosę, minął małe lądowisko, na którym stała jedna biało-czerwona cesna, po czym zaparkował przed odgrodzonym łańcuchem wejściem na pole namiotowe. Widać, że miejsce to było zamknięte poza sezonem.

– Możesz się rozgrzać, przeskakując przez łańcuch – powiedział.

– Mówiłeś, że idziemy na plażę. Czy wolno tu wchodzić?

– Miejscowi chodzą tu przez cały rok. Tu zaraz są drewniane schody prowadzące na plażę. Możemy zejść nimi, przespacerować się po plaży i wejść kolejnymi schodami. Może być?

Skinęła głową, a on schował do kieszeni kluczyki i wskazał łańcuch. Puste pole namiotowe było umiejscowione pomiędzy wysokimi, porośniętymi lasem wydmami i głębokimi, przypominającymi dżunglę dolinkami.

Przez długi czas szli szybko i w milczeniu. Val miała na sobie biały moherowy sweter z kapturem, ale wiatr przedzierał się przez ciepłą tkaninę.

– Tu nie ma żywej duszy – powiedziała, dysząc lekko, bo narzucił szybkie tempo. – Mówiłeś, że miejscowi tu spacerują.

– Pogoda się psuje, więc pewnie wszyscy spacerowicze wrócili do domów.

– Rozsądni ludzie – mruknęła.

– Może na plaży będą jacyś rybacy.

– Mrożący przynętę – rzuciła z przekąsem, zerkając niespokojnie na ciemniejące niebo.

Gdy doszli do schodków, dotknął jej ramienia i wskazał je.

– Prowadzą na plażę. Chodź, schronimy się przed wiatrem.

Idąc gęsiego po wąskich schodkach, mijali rachityczne sosenki i porośnięte bluszczem dęby. Widać było ślady jeleni. To dzikie miejsce budziło w Val coraz większy zachwyt. Gdy byli w połowie schodków, nad wyrzeźbionymi przez wiatr wydmami porośniętymi ciemną, szorstką trawą pojawiła się mżawka. Mac szedł przodem, a Val z trudem za nim nadążała, ale postanowiła nie narzekać. Pomyślała, że prace domowe stanowią marny substytut dla regularnych sesji aerobiku.

Gdy schodki się skończyły, nogi zapadły jej się w biały piasek. Plaża była dzika jak w Nowej Anglii, ale nie tak kamienista. Fala wpełzała na płaski, piaszczysty brzeg, pozostawiając za sobą ślad kremowej piany i ciemnych wodorostów.

– Ojej, jak tu pięknie – szepnęła.

I rzeczywiście. Woda jak z obrazów Winsłowa Homera, pod ciemniejącym niebem jak z palety Turnera.

Nad ich głowami, ale na tyle nisko, że mogła dostrzec żółty kolor na ich główkach, leciały trzy pelikany, szybując w prądach powietrznych.

Wokół nie było nikogo. Niby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki poczuła, jak miesiące pełne zmartwień opadają z jej ramion. Kierując twarz w stronę wiatru, przymknęła oczy i zaczerpnęła głęboko powietrza.

Mac milczał, ale czuła jego obecność. Czuła też chłodne kropelki na twarzy, a gdy oblizwała usta, były słone.

Otworzyła oczy i zobaczyła Maca, który stanął plecami do wiatru, osłaniając ją przed jego podmuchami. Ujął w dłonie jedną z jej rąk. Miała rękawiczki, a on gołe palce i nie wiedzieć czemu ją to rozśmieszyło. Uśmiechnął się w odpowiedzi. Przysuwając się jeszcze bliżej, przesunął ręce na jej ramiona i położył jeden palec na jej ustach. Nad ich głowami sunęły po niebie setki ptaków, formując ciemny klucz. Wyglądały jak mróweczki na marmurowym blacie.

Mac zdjął jej kaptur i wskazał niebo.

– Posłuchaj – wymówił samym ruchem warg.

Poprzez ryk morza usłyszała szum setek skrzydeł. Poczowała dziwny dreszcz, który niegdyś ogarnął ją, gdy podczas podróży za granicą weszła sama do zrujnowanej kaplicy w starym klasztorze i usłyszała dziwne odgłosy – echa szepczące zza ściany czasu.

Uśmiechnęła się, gdy czarowna chwila minęła.

–Powinnam wziąć okulary przeciwsłoneczne –powiedziała, zażenowana z powodu uczuć, które ją nagle ogarnęły.

– Valerie?

– Co to były za ptaki? Nie gęsi, bo nie słyszałam gęgania. Kaczki? – trajkotała, by pokryć zmieszanie.

– Kormorany – i zanim zdążyła się znowu odezwać, pocałował ją.

Czuła, że to było nieuniknione, jak jeszcze nic wcześniej w jej życiu. Jego ciepłe, silne ramiona przygarnęły ją tak mocno, że wydawało się, jakby opadło z niej całe grube odzienie. Czuła jego ciało, bicie serca, podniecenie.

To był bardzo krótki pocałunek, po którym oboje przez chwilę oddychali ciężko, wpatrując się w siebie. Milczała wyczekująco, w nadziei,

że Mac powie coś trywialnego, co na powrót zakotwaczy ją w jej rozchybotanym świecie. Poczła, jak kropelka wody spada jej na policzek.

– Chodź szybko, wracajmy – powiedział zduszonym głosem.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Byli mniej więcej w połowie drewnianych schodków, gdy lunęło jak z cebra. Gdyby Mac chwycił ją za rękę i pociągnął, pobiegliby szybciej, ale schodki były zbyt wąskie. Kiedy znaleźli się prawie na ich szczycie, wskazał na pawilon łazienkowy pola namiotowego. Val o nic nie pytała. Nie mogła złapać tchu, śmiała się i trzęsała z zimna, jej buty i dżinsy były zupełnie przemoknięte.

Łazienki były zamknięte, ale część damską od męskiej oddzielał mały zadaszony ganek. Val oparła się o ścianę, nie przestając się śmiać.

– Z czego się tak śmiejesz? – spytał Mac.

– Sama nie wiem. Z niczego – a gdy rzucił jej pytające spojrzenie, dodała: – Nigdy nie śmiałaś się z niczego?

– Nie w ciągu ostatnich dwudziestu paru lat. I nie na trzeźwo.

Przestała się śmiać i przygryzła dolną wargę, wyobrażając sobie o wiele młodszego Johna MacBride'a, podpitego i delikatniejszego, nie tak pewnego siebie. Ukłucie serca, które poczuła, nie było spowodowane długim biegiem w deszczu. Kim jesteś? – spytała go w duchu.

– Trzęsiesz się z zimna – powiedział zduszonym głosem i zanim mogła zaprotestować, wziął ją w ramiona, stając plecami do ściany deszczu i w ten sposób chroniąc ją, na ile to było możliwe.

Zimno jej nie przeszkadzało, mogła to znieść. Przeszkadzało, a nawet przerażało ją to, że była wytracona z równowagi, ogarnięta pożądaniem i próbowała ignorować podszepty zdrowego rozsądku, który nakazywał jej uciekać jak najszybciej, zapomnieć o swoich potrzebach i zająć się obowiązkami.

– Nie jest mi zimno, ale jestem głodna – powiedziała, wdychając zapach jego skóry.

– Ja też – powiedział znacząco, po czym dodał już normalnym tonem:
– Jak deszcz ustanie na tyle, by przedostać się do samochodu, pojedziemy do takiego jednego baru w Avon.

Nic nie powiedziała, tylko przytuliła twarz do jego ciepłej szyi, objęła go w talii i napawała się tą chwilą, wiedząc, że już się nie powtórzy.

Deszcz skończył się równie gwałtownie, jak się zaczął. Gdy Mac odsunął się od niej, o mało się nie rozplakała. Jednak szybko się opanowując, ruszyła zwawo w stronę samochodu, co nie było łatwe w sztywnych mokrych dżinsach i mokrych butach.

Mac bez słowa otworzył samochód, a ona wskoczyła na siedzenie. Żadne z nich nie odezwało się słowem, gdy minął skręt prowadzący na jej ulicę, a potem ruszył autostradą do wioski Avon, odległej o jakieś dwanaście kilometrów. Ani słowa przez dwanaście kilometrów.

Zanim Mac zaparkował pod dębem na podwórzu

I wyłączył silnik, mniej więcej ułożył sobie wszystko w głowie.

No tak, pocałował ją. Miał trzydzieści siedem lat i nie pamiętał już nawet, ile kobiet całował, włącznie z tą, której omal nie poślubił. Cóż więc znaczy jeden pocałunek więcej? To w końcu nic wielkiego.

– Wziąłem ci dwie kanapki z cebulą – powiedział, gdy otworzył drzwi frontowe. Woląca poczekać w samochodzie, gdy poszedł do baru, i powiedziała, żeby zamówił to, co uzna za dobre.

– Świetnie – odparła i było to pierwsze słowo, jakie wypowiedziała od chwili, gdy spytał ją, co zamówić.

Spojrzał na nią z ukosa i zauważył coś w rodzaju rozbawienia malującego się na jej twarzy. Uznał to za dobry znak. Myślała pewnie: zaraz

zapomnę o tym cholernym pocałunku, jakby go wcale nie było, draniu. Oczywiście, jako dama, użyła pewnie innych słów, ale na pewno to właśnie miała na myśli.

– Chcesz piwo? – spytał, gdy weszli do środka. Ściągała z siebie kolejne warstwy ubrań. Rękawiczki, sweter, potem blezer. Zastanawiał się, czy specjalnie go prowokuje. Jeżeli rozbierze się do bielizny, uzna to za zachętę, ale nie wcześniej.

– W domu jest dość ciepło, prawda? – zauważyła.

– Ale niedługo nie będzie – odparł i włączył grzejnik.

Podziękowała i zaproponowała mu herbatę. Omijali się wzajemnie, żadne z nich nie chciało przyznać, że ich relacja, jakakolwiek była wcześniej, uległa zmianie.

– Kupiłem dziś sześciopak piwa. Może jednak chcesz jedno?

Pokręciła głową. Wzruszył ramionami i otworzył sobie butelkę. Mając do wyboru coronę, jednoprocentowe mleko i gorącą herbatę, zawsze wybierał piwo.

Przenieśli się z jedzeniem do salonu, zgodnie unikając wymuszającej bliskość ciasnej kuchni. Usiadła pośrodku małej sofy, dając do zrozumienia, że nie ma już miejsca dla drugiej osoby.

Przyciągnął ciężki, obity sztuczną skórą fotel do stolika do kawy i usiadł naprzeciw Val. Rozpakowując kanapkę, rzucił na* nią przelotne spojrzenie i zauważył, że jest zarumieniona i unika jego wzroku. Rumieńce mogła mieć od spaceru, ale pozycja, którą przyjęła, była naumyślna.

Wracali więc do relacji najemca–pracownik, lokator–właścicielka. I myśliwy–zwierzyna...

Jedli w milczeniu, a gdy zabrała się do drugiej kanapki, odezwała się wreszcie, pytając, ile jest mu winna.

– Funduję, następnym razem się zrewanżujesz – powiedział, powstrzymawszy się od rzucenia przekleństwa pod nosem.

– Dziękuję, to bardzo dobre.

Miał ochotę parsknąć śmiechem. Nawet jeśli się nie chciała do tego przyznać, była tak samo jak on podniecona tym namiętym, słono–słodkim pocałunkiem. W przeciwnym razie nie siedziałyby teraz jak lady jakaśtam na herbatce. Pomyślał, że chyba spowalnia swoją misję.

A może nie? Może teraz, gdy częściowo uległ gwałtownemu pociągowi do tej kobiety, będzie mógł się skoncentrować na tym, po co tu przyjechał. Właściwie najlepiej by było, gdyby uległ do końca i przespał się z nią, ale do tego nie dojdzie. Nie, najlepiej, jak znajdzie szybko to, czego szuka, a potem wyniesie się stąd daleko od niej. Jednak ta perspektywa jakoś wcale nie wydała mu się pociągająca.

Szumowi deszczu towarzyszyły głośnie grzmoty i jasne błyskawice, gdy burza rozszalała się nad morzem. Mac obudził się z pulsującym bólem w skroniach, co oznaczało, że w nocy przeszedł front atmosferyczny. No świetnie, pomyślał, tego właśnie potrzebuję, by móc się skoncentrować.

Włączył gorący prysznic i ustawił się tak, by strumień wody mocno wymasował mu kark. Gdy się wytarł, wciągnął spłowiełe dżinsy i stary blezer z logo uniwersytetu Columbia, ból osaczył go jak mgła ścieląca się przy ziemi. Mógł jakoś funkcjonować, ale nie na najwyższych obrotach.

Wypił kawę, zjadł rogalik z masłem orzechowym i poszedł na górę, by oczyścić spłuczkę w umywalce, gdyż Val skarżyła się, że woda długo z niej spływa.

Val nigdzie nie było. Zniknął też jej samochód. Nie oczekiwał, że będzie się z nim żegnać przed opuszczeniem domu, ale mogłaby chociaż grzecznościowo zostawić kartkę.

Walnął głową w umywalkę, zaklął i sięgnął po wiadro, by spuścić do niego nieczystości.

Gdzie ona się podziewała? Było za wcześnie na odbiór poczty, a o ile wiedział, niczego nie brakowało i nie trzeba było jechać do sklepu.

Gdy skończył z umywalką, pomyślał, że mógłby naoliwić zamek w drzwiach frontowych, bo klucz z trudem się obracał. Wyjrzał na zewnątrz, samochodu Val nadal nie było. Doszedł do wniosku, że zamiast zajmować się zamkiem, powinien przejrzeć kolejną partię papierów. Kusilo go, by wyznać jej, czemu się tu znalazł, i poprosić ją o współpracę przy analizowaniu dokumentacji, włącznie z tą, która kryła się w jeszcze nie rozpakowanym laptopie. Kapitan poszedł na dno, ale nie znaczy to, że musi zabierać ze sobą pierwszego oficera – może ten argument by ją przekonał.

Ten pocałunek wszystko pomieszał, był zupełnie niepotrzebny. Już wcześniej narastało pomiędzy nimi erotyczne napięcie – takie rzeczy dzieją się same, czy tego chcesz czy nie – ale przynajmniej, zanim ją pocałował, ufała mu, w przekonaniu, że nie wykorzystuje sytuacji.

Teraz była czujna i to z zupełnie niewłaściwego powodu. Sam już nie wiedział, co gorsze; poczucie winy, bo mu ufała, jeśli Mac znajdzie to, czego szuka, może zostać aresztowana za ukrywanie dowodów, czy poczucie winy, bo kusilo go, żeby wszystko rzucić i pozostawić Willa samemu sobie. Niech jego prawnik wreszcie ruszy głową, żeby zarobić swą gażę.

To wszystko go wykańczało. Poprzedniej nocy musiał wziąć tabletki nasenne. Być może zawiniła ciężkostrawna kolacja, ale przypuszczał, że raczej chodzi o konflikt pomiędzy jego rozumem a libido, pomiędzy tym, co chciał tutaj robić, a tym, co powinien.

Właśnie mył ręce w kuchni, gdy zajechała na podwórze. W chwilę później zajrzała przez drzwi i powiedziała:

– Cześć, były do mnie jakieś telefony?

Tak więc wracali do starego układu. Pogodni, lecz obojętni sublokatorzy. Jakoś to zniesie.

– Nie, nikt nie dzwonił – odparł. Westchnęła, a on zaczął się zastanawiać, na czyj

telefon czeka. Jeśli to nie bankier szwajcarski albo wielki deweloper, nic go to nie obchodziło. Gdy odłożył narzędzia i podgrzał kawę, która teraz zrobiła się gęsta, jak lubił, zastał ją w fotelu w salonie. Przeglądając papiery, nuciła coś wolno pod nosem. Nawet to jej nucenie było seksowne.

Był ciekaw, co wprowadziło ją w tak świetny humor. Przypuszczał, że to, co dobre dla Bonnard, jest złe dla Willa.

Val weszła do salonu i rzuciła okiem na ulotkę Home Depot, po czym odłożyła ją na stolik. Może później będzie sobie mogła pozwolić na przebudowę, miała już nawet parę pomysłów. Teraz jednak zaprzętały ją inne sprawy. Co zrobić z tym MacBride'em?

Wiedziała, co chciałaby zrobić, ale do tego nie dojdzie. Nawet gdyby on był zainteresowany, nie miała teraz czasu na romans. A nawet na jedno super-tarzanko. Miała przeczucie, że takie właśnie by było. Miała pewne doświadczenie, ale seks z Trippem nie przyprawiał jej o zawrót głowy. Tak samo zresztą jak z trenerem tenisa, w którym zakochała się zaraz po studiach.

Bez wątplenia, zanim pomyśli o seksie, supertarzanku czy też zwykłym – musi coś zrobić z tym cholernym materacem. Czyli jednak myśli.

Dlatego między innymi chciała sprawdzić, czy oferta Marion jest jeszcze aktualna. Pojechała rano do agencji, ale na drzwiach zastała kartkę „Wracam o pierwszej”.

Zawiedziona, pojechała do sklepu i kupiła jeszcze jeden pojemnik pianki do czyszczenia piecyka i regenerujący krem do rąk. Potem udała się na pocztę, by wysłać ostatnie powiadomienia o zmianie adresu. Wrzucając je do skrzynki, zastanawiała się, kto z jej znajomych – jeśli w ogóle ktoś – będzie chciał nawiązać z nią kontakt.

Pełna nadziei otworzyła skrzynkę i zobaczyła, że jest zapchana katalogami i ulotkami reklamowymi. Rozczarowana, omal nie wrzuciła natychmiast wszystkiego do pojemnika na makulaturę. Uznała jednak, że choćby taka poczta jest lepsza niż żadna.

Przeglądając kolorowe katalogi, myślami była wciąż przy mężczyźnie, który trząsał w kuchni drzwiczkami kredensu i pogwizdywał. Brzmiało to jakby jakieś piskliwe ptaszysko przedrzeźniało czajnik.

Poprzedniego wieczora, zanim poszła do łóżka, prawie nie rozmawiali. Mac próbował nawiązać konwersację, ale ona bała się stracić kontrolę nad sobą, gdyby znów chciał ją pocałować. A może obawiała się, że wcale by tego nie chciał...

Ta głupia sytuacja nie mogła trwać dalej, skoro mieli dzielić dom. Przecież oboje są rozsądnymi dorosłymi. Musiała wciąż sobie o tym przypominać.

– Mac? Wiedziałeś, że można zamówić pocztą wózek inwalidzki? – rzuciła głośno w stronę kuchni.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – odkrzyknął. – A co, potrzebny ci?

Gdy pojawił się w drzwiach za jej plecami, rzuciła mu uśmiech przez ramię.

– Nie, ale pomyślałam sobie, że skoro jest poczta i internet, kobieta może tu dożyć spokojnej starości, nie opuszczając wyspy.

No, nie jest tak źle, pomyślała, mogą znów normalnie rozmawiać.

– Takie masz plany? – spytał, wchodząc do pokoju i patrząc na nią z zaciekawieniem.

– Nie wiem – wzruszyła ramionami. – Może.

– Tutaj? W tym właśnie domu?

– Czemu nie? Jest mój. Owszem, wymaga napraw, ale po co się w to bawić, jeśli nie będę tu mieszkać?

– Możesz go wynająć. To znaczy cały dom, nie tylko sypialnię na tyłach.

– Wówczas musiałabym znaleźć coś dla siebie, a to pochłonęłoby pewnie cały czynsz, więc jaki w tym sens?

Usiadł na sofie, pochylił się do przodu i oparł ręce na kolanach. Poczula, że się rumieni, bo zastanawiała się, czy on myśli teraz o tamtym pocałunku. Chyba jednak nie.

– Co byś tu robiła? – spytał.

– Z czasem? Po pierwsze, muszę znaleźć pracę. Co do czasu wolnego – nie pływam na desce, nie łowię ryb, ale jest dużo możliwości działania dla wolontariuszy. Poza tym mogłabym pomalować dom, może na bladożółto, z czarnymi okiennicami? Albo klasycznie, na białą z ciemnozielonymi? Muszę się zastanowić. No i mogłabym zająć się ogrodem, mam parę pomysłów.

Przyjrzał jej się uważnie, jakby próbował ją sobie wyobrazić w roli stałej mieszkanki wyspy. Sama jeszcze nie bardzo sobie to wyobrażała, ale

coraz bardziej jej się ten pomysł podobał. W końcu korzenie naprawdę się liczą.

– No dobrze, z malowaniem mogę poczekać do następnego roku – ciągnęła, widząc jego niedowierzające spojrzenie. – Ale mogę pomyśleć o ogródku. Nasiona dużo nie kosztują. Każdy musi gdzieś mieszkać. Dlaczego nie tutaj?

Przyglądał jej się badawczo, bawiąc się śrubokrętem.

– O jakiej pracy myślałaś?

– O sprzątaniu – odparła, mając nadzieję, że jej nie wyśmiej.

Nie musiał, jego spojrzenie było wystarczająco wymowne. Potem wstał i wyszedł bez słowa, a jej zrobiło się głupio.

Gdy skończyła przeglądać ulotki, rozpogodziło się i zaczęło przygrzewać słońce. Zesztywniała od siedzenia w jednym miejscu, wstała, przeciągnęła się i wyszła na dwór. Powietrze, poprzednio chłodne, zrobiło się wręcz balsamiczne. Miała pootwierać okna, by wpuścić do środka ciepłą bryzę, lecz odechciało jej się, gdy pomyślała o późniejszym ponownym uszczelnianiu. Wróciła na swoje miejsce przy stoliku, przejrzała resztę ulotek, po czym zabrała się do dokumentów.

W pierwszej teczce znalazła korespondencję dotyczącą podatków od nieruchomości, na której widniały enigmatyczne notatki ojca. Później, ku swemu zaskoczeniu, pomiędzy wynikami badań lekarskich ojca, natknęła się na wiele listów dotyczących ubezpieczenia adresowanych do Mitty Stoddard, z datami z ostatnich czterech lat. Dlaczego ojciec miał do nich dostęp? Jako pracownicy przysługiwał jej standardowy pakiet.

Były też inne pisma dotyczące Mitty L. Stoddard, głównie formularze, które powinno się wyrzucać. Zamiast tego, wciśnięto je pomiędzy inne

dokumenty. Mitty L. Stoddard. Matilda Lyford? To nazwisko figurowało na wielu dokumentach. Czy to mogła być ta sama osoba?

Być może ojciec planował poszerzenie pakietu ubezpieczeniowego Miss Mitty, tak jak to zrobił w wypadku Charliego i Belindy. Ale po co?

Cokolwiek planował, Val miała nadzieję, że Miss Mitty odebrała należne pieniądze, zanim wyjechała. W sierpniu poprzedniego roku nie powinno być z tym problemu, kłopoty zaczęły się w parę miesięcy później.

Zdezorientowana Val wrzuciła papiery z powrotem do pudła, rozprostowała ramiona i ziewnęła. Postanowiła trochę się dotlenić.

Gdy wyszła na dwór, ujrzała Maca na drabinie. Czyścił rynnę z liści i innych paskudztw.

– Jadę coś załatwić. Kupić ci coś? – spytała.

– Dwanaście jajek.

– Zaszkodzą ci na serce.

– Wypiję dodatkowe piwo, by temu zapobiec.

– Świetnie, doktorze MacBride, na pewno pomoże. – Oboje czytali artykuł w ostatnim „Virginian Pilot” o zbawiennym wpływie alkoholu na układ krążenia.

Uśmiechnął się do niej. Pomachała mu ręką i po wilgotnym trawniku przeszła do samochodu, zadowolona, że wrócili do dawnej przyjacielskiej relacji.

Marion była w agencji, wraz ze swą pięcioletnią córką Tracy, która miała uroczy uśmiech swojej matki, lecz brakowało jej paru zębów.

– Przyszłam w sprawie pracy – powiedziała Val po przywitaniu. – Jeśli to jeszcze aktualne, biorę ją. Musisz mi tylko dokładnie określić oczekiwania. Jestem naprawdę dobra w wypełnianiu instrukcji pisemnych.

– Domyślam się. Miałam wpaść, zobaczyć, jak sobie radzisz, ale zrobił się ruch w związku z rezerwacjami i mam urwanie głowy. Więc jak ci leci?

– Świetnie, zwłaszcza po tym, jak mi przysłałaś tego faceta „złotą rączkę”. Jest genialny.

Nie odrywając wzroku od Val, Marion podała Trący żółtą kredkę.

– Jaką „złotą rączkę”? – spytała ze zdziwieniem.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dwadzieścia pięć minut później Val zjechała z asfaltowej drogi na trawiasty podjazd i zaparkowała pod dębem. Drabiny nie było. Nie było też śladu MacBride'a.

Kim on jest, do cholery? Dlaczego ją oszukał? Jego samochód wciąż stał pod domem. Prawie oczekiwała, że Mac już zwiął.

Stukając palcami w kierownicę, powtarzała sobie pytania, które zamierzała zadać – nie, pytania, na które zażąda odpowiedzi. Była naprawdę wściekła. Właśnie zaczęli się do siebie zbliżać, poznawać wzajemnie, rozmawiać. Pocałunek nic nie znaczył, to był tylko impuls. Tak przynajmniej chciała myśleć. No dobrze, może nie chodziło jej wyłącznie o rozmowy, ale Mac ją oszukał i nie mogła mu tego wybaczyć. Niepokoiło ją też, dlaczego to zrobił.

Roztrzęsiona zamknęła samochód i sztywnym krokiem, z uniesionym podbródkiem ruszyła w stronę domu. Gdy otworzyła z impetem drzwi wejściowe, Mac nadszedł korytarzem, niosąc w ręku gumowy wąż.

– Zauważyłaś, jak łatwo chodzą drzwi? – zapytał z uśmiechem, którego uroku nie przyćmił bynajmniej jednodniowy zarost.

Zmroziła go wzrokiem, a uśmiech na jego twarzy natychmiast zbladł. Uniósł pytająco brew, a potem oświadczył:

– Oto winowajca, nie będzie już więcej zalewał. – Widząc jej minę, dodał: – Ej, żartowałem z tym piwem, wcale nie musiałaś po nie jeździć.

Nie przywiozła żadnego piwa. Ledwie pamiętała o tym, by zabrać torebkę z biurka Marion.

– Czy możesz mi powiedzieć, kim, u diabła, jesteś

I co robisz w moim domu? – wycedziła, ale nie wyszło to jej tak spokojnie, jak zamierzała.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, jakby natknął się na egzotycznego gada we własnym łóżku.

– Jestem John Leo MacBride i właśnie sprawdzam, dlaczego twoja pralka przecieka – odparł spokojnie.

– Marion z Seaview nigdy o tobie nie słyszała. Skąd wiedziałeś, że potrzebuję kogoś do prac remontowych?

– Od ciebie. Sama mi to powiedziałaś.

– Niby kiedy? – spytała ironicznie.

Powiesił na kłamce gumowy wąż, który był połatany taśmą klejącą, i odparł spokojnie:

– Kiedy zobaczyłem ogłoszenie o wynajmie i przyszedłem, by zapytać o warunki.

Szybko przypomniała sobie tamten dzień, rzeczywiście, zapomniała zakryć tę cholerną tablicę!

No i co teraz? Panna Dobrze Wychowana nie jest przygotowana na takie sytuacje. Wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Sugerujesz więc, że to zwykłe nieporozumienie? Wzruszył ramionami.

– Oczywiście. Byłem w okolicy, szukałem mieszkania, zobaczyłem tablicę.

Przygryzła wargę, nie znajdując więcej argumentów na potwierdzenie swych podejrzeń. Nieważne, co mówił, nie był prostym fachowcem od napraw. Ale reporter zadawałby więcej pytań. Nie wspomniał o Greenwich ani o BFC. Stał cierpliwie, gdy mierzyła go wzrokiem, począwszy od zniszczonych, ale w świetnym gatunku butów sportowych po spłowiełe od

słońca włosy. Agent federalny? Wątpliwe. Wszyscy, których do tej pory spotkała, nosili ciemne, nieokreślone ubrania i kiepskie krawaty.

– No dobrze, w porządku – powiedziała wreszcie, starając się, by brzmiało to tak, jakby miała wszystko pod kontrolą.

Tymczasem było całkiem odwrotnie. Niedawno wyczyściła swoje konto bankowe, podpisała stosy dokumentów, zostawiła klucze do domu ojca osobistemu bankierowi i ruszyła na południe używanym samochodem, zapchanym niepraktycznymi ubraniami, sentymentalnymi pamiątkami i skradzioną dokumentacją. Towarzyszyło jej przekonanie, że gdy opuści miejsce, gdzie prześladowało ją tyle bolesnych wspomnień, zdobędzie się na obiektywizm, który pomoże jej odkryć prawdę i oczyścić imię ojca. Na razie jednak nic takiego nie nastąpiło.

– Valerie?

– W porządku – powtórzyła. – Uczciwość nakazuje mi przyznać, że sama jestem sobie winna. Nie powinnam zatrudniać cię, nie poprosiwszy o referencje.

– Następnym razem poproś o referencje i depozyt.

– Pouczasz mnie?

– Tylko udzielam dobrych rad. Chcesz więc się czegoś o mnie dowiedzieć? Bo jeśli chodzi o depozyt, to chyba jesteście kwita. Tydzień pracy w zamian za tygodniowy wynajem.

Poszła do kuchni, a on podążył za nią. Wyciągnęła krzesło i usiadła. On pozostał na stojąco.

– Mogę wyjechać natychmiast, jeśli chcesz – powiedział spokojnie.

Miała ochotę powiedzieć mu, żeby to zrobił. Może tak byłoby najlepiej.

– Daj mi chwilę do namysłu – powiedziała.

Tak jakby myślenie coś tu pomogło. Nie potrafiła w racjonalny sposób wytłumaczyć, dlaczego tak na nią działał. Jak jeszcze żaden mężczyzna w jej życiu, włącznie z tym, którego omal nie poślubiła. Rozpaczliwie uchwyciła się ostatniego argumentu w przyszłym tygodniu zacznie płacić jej czynsz. Potrzebowała tych pieniędzy. Nawet gdyby spławiła go i wzięła innego lokatora, kto powiedział, że następny będzie lepszy? No cóż... to chyba niemożliwe.

– Mogę się zwinąć w pięć minut – powtórzył, gdy milczenie przeciągało się zbyt długo. – Dziesięć, jeśli dorzucisz mi jeszcze coś do zrobienia.

– Myślałam, że już wszystko jest zrobione.

– Zostały jeszcze do wymiany deski pod pralką, no i dach. Sklep Dare Building zamówił materiały.

– Chyba jestem ci za nie coś winna? – spytała niechętnie. I za wczorajszą kolację. I za wiele fascynujących rozmów, które stanowiły dla niej wymówkę, by nie zajmować się tym, po co tu przyjechała.

– Nie ma sprawy. Otworzyłem w Dare rachunek na twoje nazwisko. Znali twoją prababkę. Nawiasem mówiąc, trzeba zmienić ten wąż w pralce. Na razie go załatam, ale to prowizorka. Wyczyściłem też filtr, było tam pełno piasku. Trzeba to robić od czasu do czasu, pokażę ci, jak.

Podniosła ręce w geście poddania.

– O nie, zostań! Przecież to było moje niedopatrzenie, a nie twoje.

Długą chwilę zwlekał z odpowiedzią, aż zaczęła się bać, że może się upierać przy swojej decyzji. Nie miała o to pretensji, przecież musiała go urazić.

– Skoro już mówimy o niedopatrzeniach – powiedział tym swoim głębokim głosem, który działał na nią tak, jakby ktoś przesunął po jej skórze

strusim piórem – następnym razem, jak będziesz wynajmowała mieszkanie, najpierw poproś o depozyt na wypadek, gdyby mieszkańcy coś zniszczyli albo wyprowadzili się, nie płacąc czynszu.

– Wiem – rzuciła cierpko. – Zresztą już mi to mówiłeś.

– W takim razie zapłacę ci teraz ten depozyt. Nie ustaliliśmy tylko jeszcze ceny wynajmu.

– Nie uzgodniliśmy też, ile kosztuje godzina twojej pracy.

Skinął głową, ale nic nie powiedział. Val przypomniała sobie, jak żałośnie wygląda pokój na tyłach domu i mała, obskurna łazienka.

– Muszę zapytać moją znajomą z agencji nieruchomości, która wynajmowała ten dom, zanim się wprowadziłam. Musi znać miejscowe stawki.

– Jeśli wystarczy czek, mogę dać ci depozyt od razu.

– Powiem ci, jaki jest czynsz, jak tylko się dowiem. Jeśli chcesz wpłacić depozyt, musimy załatwić pozostałe formalności. Mam na myśli referencje, umowę wynajmu, i tak dalej. Wezmę wzór umowy od Marion.

– Chodzi o wynajem krótkoterminowy – uściślił.

– Oczywiście – przytaknęła szybko.

Powinny w niej znaleźć się też dodatkowe punkty pomyślała Val. Od tej pory nasza relacja jest wyłącznie formalna. Koniec z miłymi pogawędkami przy piecyku i spacerami po plaży w deszczu. Nie wspominając o pocałunkach. Skinął głową.

– Przesłanie referencji z ostatniego miejsca mojej pracy zajmie pewnie parę dni.

– Dobrze. A na razie wiesz, co jeszcze jest tu do zrobienia – powiedziała i wstała, zabierając się do wyjścia. – A tak a propos, zaczynam od jutra pracować.

– Znalazłaś coś?

– Mówiłam ci, będę sprzątać wynajmowane domy. Głównie w sobotnie i niedzielne ranki – rzuciła beztrąsko, czując, że znów panuje nad sytuacją. – Mam nadzieję, że uda ci się umocować ten stary wąż. Mam kupę rzeczy do prania.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Późno w nocy Mac wyciągnął się na twardym łóżku z rękami pod głową. Łóżko już się przynajmniej nie zapadało, bo między materacem a sprężynami umieścił płytę ze sklejki.

Praca na drabinie i wpełzanie pod dom nadwerężyły jego kontuzjowane kolano, ale to nie była jego największa bolączka. Co, u diabła, ma teraz zrobić? Przyznać, że przybył tu z misją, która nie ma nic wspólnego z przeciekającą pralką i zapchanymi rurami? Że miała coś, co chciał za wszelką cenę zdobyć?

Najgorsze, że najbardziej chciał zdobyć ją samą... Ale do tego nie dojdzie. Nie pozwoli mu na to sumienie, które wciąż przypomina, że dowody, które znajdzie na potwierdzenie niewinności brata, pogrążą jej ojca.

Nie mogąc zasnąć, wstał z łóżka i stanął w oknie, wpatrując się w gwiazdy migoczące pomiędzy kikutami martwych sosen, ponoć ofiarami huraganu Emily. A jeśli Frank Bonnard był jednak niewinny? Może nie zdążył przed śmiercią zrobić nic, by to udowodnić. A gdy go zabrakło, nie było też adwokata, który pracowałby za darmo w jego sprawie. Teraz chyba tylko Val wierzyła w jego niewinność. Podobno zmarł w jej trzydzieste urodziny. Przez to cios był zapewne jeszcze bardziej dotkliwy. Will mówił, że w parę tygodni później straciła dom, majątek i dobrą reputację. Mac musiał przyznać, że w tych okolicznościach radziła sobie bardzo dzielnie.

Nie obudziło jej słońce, które wlewało się przez okno, lecz walenie młotkiem. Val spojrzała na zegarek i jęknęła. Zamierzała wstać tego dnia wcześniej, żeby przejrzeć trochę dokumentów, zanim uda się do pracy. Otumaniona po niespokojnej nocy, zeszła na dół, gdzie zastała Maca przy

naprawianiu podłogi pod pralką. Poprzedniego wieczoru udało jej się dzięki naprawionemu sznurowi zrobić normalne pranie. Ale i tak miała ochotę go wyrzucić, bo wystarczyło jej na niego spojrzeć, by traciła zdrowy rozsądek.

– Przepraszam. Obudziłem cię? – Klęczał na jednym kolanie nad dziurą w podłodze, a pomiędzy dżinsami i bluzą widać było pasek opalonego ciała.

– Dzień dobry – mruknęła, mrugając, i wycofała się z małego pomieszczenia.

Na piecyku stała patelnia, używane naczynia stały wymyte na suszarce, a na papierowym ręczniku leżały dwa kawałki usmażonego bekonu. Zaczęła podgryzać jeden, czekając, aż tost się upiecze. Nie chciało jej się robić herbaty, więc naląła sobie kawy z dzbanka stojącego na podgrzewaczu, posłodziła ją i zabrała całe śniadanie do salonu.

Niechętnie sięgnęła po trzy teczki z prawej strony pudła – te, których jeszcze nie przejrzała, bo przyjęła system od lewej do prawej. Sama nie wiedziała dlaczego. Równie dobrze mogłaby zacząć od środka i przeglądać papiery w obu kierunkach. W dokumentach panował przecież taki bałagan, że mogła w nich dowolnie grzebać. Ostatnio znalazła tam nawet zaświadczenia maklerskie pomieszane z rachunkami od weterynarza za leczenie kota, który umarł ze starości w roku, kiedy przeniosła się z Chicago do Nowego Jorku. I na wszystkich papierach widniały jakieś zapiski ojca, których nie rozumiała. Jakieś cyfry, inicjały, notki typu „Sprawdzić jutro i zadzwonić do Tv. Ag. ” Co to znaczy? Agent telewizyjny? Travel Agency? Ale dlaczego? Ojciec od lat nie wyjeżdżał na wakacje, co prawdopodobnie przyczyniło się do jego śmierci.

– Cholera, nie będę płakać! – powiedziała, waląc pięścią w stół.

– Mówiłaś coś?! – zawołał Mac z sąsiedniego pomieszczenia.

– Nie, nie przeszkadzaj sobie! – odkrzyknęła.

Zanim dwukrotnie przejrzała wszystkie wyjęte papiery, kawa zdążyła ostygnąć. W ostatnich dokumentach były różne odniesienia do BFC, których nie zrozumiała, i widniały na nich enigmatyczne bazgroły ojca.

Spojrzała na zegarek i uznała, że musi się pospieszyć, by w miarę wcześnie zacząć pierwszy dzień pracy. Pobiegnęła na górę, włożyła bawełnianą bluzę, spodnie Diesla, które teraz, gdy schudła, wisiały luźno na jej biodrach, i bardzo wygodne buty do tenisa. Prawdopodobnie w najbliższym czasie nie będą jej potrzebne.

Gdy zeszła na dół, Mac był w kuchni. Widać skończył już naprawiać podłogę, bo pralka stała na swoim miejscu.

– Lunch gotowy – zawołał, gdy zobaczył, że sięgnęła po kurtkę.

– Nie mam czasu.

– Poczekaj. Będzie ci się lepiej pracowało, jak coś przekąsisz.

Żołądek zasygnalizował jej, że tost z bekonem i pół kubka kawy są już tylko wspomnieniem, więc zawróciła od drzwi.

Mac przygotował ravioli z puszki i sałatę. Zapach sosu pomidorowego uświadomił jej, jak jest głodna. Opadła na krzesło, a Mac postawił talerze i podał jej starty ser.

– Potrzebujesz pomocy? – spytał.

– Nie, dlaczego? To tylko sprzątanie. Myślisz, że sobie nie poradzę? – spytała, starając się, by zabrzmiało to wojowniczo.

– Tylko zaproponowałem – odpowiedział spokojnie. Skropiła swoją sałatę oliwą i octem ziołowym.

– Dziękuję za lunch – powiedziała naburmuszona.

– Jak pojedziesz, sprawdzę strych. Jeśli dach przecieka, będzie widać po wczorajszym deszczu.

Świetnie. Może trzeba będzie wymieniać również dach. Westchnęła i zaczęła rysować wzorki na talerzu z sosem pomidorowym.

– Jakie rozkazy na dziś? – spytał.

– Czy mógłbyś usunąć klimatyzator z mojego pokoju? W dni takie jak dzisiejszy chciałabym móc otworzyć okno i wpuścić trochę świeżego powietrza.

– Zdjąć izolację także z drugiego okna? Stukając palcami po stoliku, pokręciła głową.

– Decyzje, decyzje... Możesz tę jedną podjąć za mnie? Nie mogę martwić się o kilka rzeczy naraz, a teraz myślę o tym, co mnie czeka w tych domach. Marion mówi, że ludzie zostawiają tam nieraz takie rzeczy...

Parsknął śmiechem i powiedział:

– Możesz mi podać sól?

Oboje starali się zachowywać jak gdyby nigdy nic, ale nie było to łatwe. Jej spojrzenie błędziło wciąż koło jego ust o pełnej dolnej wardze i wyraziście wykrojonej górnej. Nie mogła zapomnieć, co czuła, gdy ją całowały, gdy przesuwali się po jej szyi. Wciąż zastanawiała się, co stałoby się, gdyby nie mieli wtedy na sobie tylu ubrań i gdyby nie padał zimny deszcz.

Odsunęła gwałtownie krzesło i oświadczyła:

– Muszę już jechać.

– Mówisz poważnie?

Przerwała mycie swego talerza.

– A myślałeś, że żartuję?

– Na jak długo bierzesz tę pracę?

– Tak długo, jak będę chciała. Chociaż kiedy sprzątaczką Marion wróci z urlopu macierzyńskiego, będę musiała poszukać czegoś w innej agencji wynajmu.

Podał jej swój talerz i sztućce, a ona umyła wszystko, wlewając do zlewu detergent o cytrynowym zapachu.

– No to powodzenia – powiedział. – Jak skończę te ostatnie naprawy, zrobię sobie wolne i poczytam. Przywiozłem trochę książek, których nawet nie rozpakowałem.

Układając naczynia na suszarce, wyobraziła sobie, jak by to było usiąść z nim przy kominku albo choćby przy szkaradnym olejowym piecyku i spędzić wspólnie deszczowy dzień. Rozmawiać, czytać, słuchać muzyki, może nawet się zdrzemnąć. Ale teraz nie pada, a taka sytuacja byłaby zbyt niebezpieczna.

Val szybko poszła na górę po torebkę i instrukcje otrzymane od Marion. W czasie sezonu czas naglił, ale o tej porze roku większość domów nawet nie została zarezerwowana.

– Muszę cię uprzedzić, że niektóre domy nie były sprzątane od dwóch tygodni, od kiedy wynajmujący się wyprowadzili – powiedziała Marion. – Najpierw zaglądamy do lodówek i wywalaj wszystko, nawet jeżeli nie jest pokryte mchem.

Wycofując samochód na drogę dojazdową, Val obliczyła szybko w pamięci, że jeśli wykona wszystko, co ma na liście, zarobi sto dolarów. Jeszcze niedawno tyle nosiła w portmonetce na drobne wydatki. Teraz ta suma oznaczała, że w przyszłym tygodniu będzie mogła zapłacić za materiały na naprawę dachu. Praca w następnym tygodniu chyba pozwoli jej opędzić podatek od nieruchomości. Potem będzie mogła zaoszczędzić na oczyszczenie szamba.

Przybyła tu, by nabrać dystansu i spojrzeć na wszystko z innej perspektywy, i udało jej się to z nawiązką. Teraz musi to wykorzystać w założonym na wstępie celu.

Mac zaraz po odjeździe Val postanowił przejrzeć dokumenty. Do tej pory przerzucił już kilkanaście teczek i doszedł do wniosku, że Bonnard miał bardzo nieuporządkowaną dokumentację. Może gdyby zaczęli przeglądać ją wspólnie z Val, doszliby do jakiegoś rozwiązania. Znała pismo ojca, kojarzyła okoliczności i osoby, o których on nie miał pojęcia.

Poza tym nie miałyby takiego poczucia winy jak teraz. Zorientowała się w końcu, że nie jest facetem przysłanym z agencji nieruchomości, ale nie wiedziała jeszcze najgorszego. Zawiesił swoje życie na kołku, żeby pomóc Willowi. Dlaczego nigdy nie zapytała go, co właściwie robi na wyspie? Wtedy może by jej powiedział.... Nie nadawał się na podwójnego agenta, nawet w szlachetnej sprawie. Teraz jednak musiał zastanowić się przede wszystkim nad tym, czy nadal uważa ją za podejrzaną?

Gdy tylko otworzył drzwi jej sypialni, poczuł przyływ gwałtownego podniecenia. W powietrzu unosiła się słaba woń jej perfum i ciała. Gdy rozejrzał się po pokoju, najpierw rzuciła mu się w oczy figurka baletniczki, którą parę dni wcześniej zauważył na obmurowaniu kominka. Pomyślał wtedy, że jest coś rozbijającego w jej twarzyczce i geście, jakim trzymała baletkę. No świetnie, skarcił się w duchu! Brakuje mu tylko tego, żeby był już całkiem rozbrojony!

Nie zastanawiając się dłużej, wymontował klimatyzator okienny i położył go na krześle. Powiedziała, żeby na razie umieścił go w jednym z nieużywanych pokoi, więc zaniósł urządzenie do pomieszczenia u góry schodów. Potem wrócił do jej pokoju, by zamknąć okno, a gdy już miał z niego wychodzić, jego wzrok przyciągnęła jakaś kolorowa plama. Drzwi do

szafy były uchylone i niemal wychodziły z niej wymięte ubrania. Podeszedł bliżej, myśląc, że szafa to kolejna rzecz wymagająca naprawy w tym domu, ale przy tak krzywych podłogach pozostaje mu tylko spróbować wymienić zawiasy. Potem rzucił okiem na ciuchy z trudem mieszczące się w środku. Nie był ekspertem, ale zauważył, że nadają się raczej na przyjęcia do luksusowego klubu, ale nie tu, gdzie Val obecnie mieszkała. Tu nosiła cały czas niebieskie džinsy, które pewnie też kosztowały ze dwieście dolarów i parę miesięcy wcześniej leżały na niej jak ulał. Ale nie teraz, bo bardzo schudła. Za dużo zmartwień, wysiłku fizycznego. Za mało snu.

Teraz przynajmniej trzy razy dziennie jadła coś porządnego. Zanim przyjechał, żywiła się tylko kanapkami z masłem orzechowym i herbatą.

Jej sypialnia mieściła się tuż nad jego pokojem. Nie zamieszkała we frontowym pokoju z oknami na wschód, lecz wybrała taki, gdzie słońce zaglądało dopiero koło południa. W nocy słyszał często, jak wstaje i chodzi po pokoju albo przewraca się w skrzypiącym łóżku. Wiele razy miał ochotę pójść do niej i zaproponować niezawodne lekarstwo na bezsenność, ale powstrzymał go przed tym instynkt samozachowawczy.

Teraz ociągał się z opuszczeniem jej pokoju. Wdychał zapach jej perfum i wpatrywał się w zagłębienie, jakie pozostało na jej poduszce. Nie posłała łóżka. Pewnie była przyzwyczajona do tego, że ktoś to robi za nią.

Gdy wreszcie zszedł na dół, otworzył sobie piwo i rozsiadł się w fotelu, postanawiając rozgryźć tajemnicę papierów, które przywiozła ze sobą Val. Uznał, że ma co najmniej dwie godziny do jej powrotu. Po trzech kwadransach studiowania dokumentów, z których większość powinna dawno wylądować w koszu, wstał i przeciągnął się, myśląc, jak to możliwe, żeby facet, którego talenty organizacyjne dorównywały umiejętnościom trzypalczastego leniwca, obrobił własną firmę, nie zostawiając żadnego

śladu. Komputery firmowe zostały od razu zarekwirowane, sekretarka Bonnarda kilkakrotnie przesłuchana, biura przeszukane.

Tymczasem Mac siedział sobie tutaj, pięćset mil stamtąd i studiował zaświadczenia od dentysty i niezapłacone mandaty. Jedna z teczek zawierała rachunki ze sklepu, w którym według Willa jego żona puszczała kupę forsy. Jednak Mac nie wyobrażał sobie jakoś, by Val gromadziła przestarzałe rachunki do ewentualnej reklamacji. Widział, jak rozprawiła się ze stalagmitami w piecyku.

Jednak nie wiadomo, dlaczego Frank Bonnard kupował tyle rzeczy w sklepie, gdzie zaopatrywały się głównie kobiety. Chyba że miał kochankę, ale nic takiego nie wyszło dotąd na jaw.

Mac zamknął ostatnią teczkę i odłożył dokumenty na miejsce. Rozciągnął się wygodnie w fotelu, starając się nie myśleć o tym, jak wygląda jej rozścielone łóżko ze skotłowanym prześcieradłem i grubą kołdrą. Nie przypominać sobie zapachu, który unosił się w pokoju.

Dopił piwo, postawił butelkę na podłodze i przymknąwszy oczy, starał się spojrzeć na całą sytuację oczyma archeologa morskiego, który usiłuje namierzyć zatopiony statek na podstawie przestudiowanych dokumentów i śladów. Przed opuszczeniem Greenwich przedyskutowali wszystkie dane z Willem i wyciągnęli z nich wnioski. Sęk w tym, że okazały się fałszywe. Był o tym przekonany od chwili, gdy zobaczył Val i warunki, w których obecnie żyła.

Na początku zakładał jeszcze, że może być sprytniejsza, niż mu się wydawało, ale teraz już tak nie myślał. Zbyt wiele razy widział jej twarz po studiowaniu przez nią tych cholernych papierów. Odbijały się na niej smutek, rozczarowanie, irytacja. Wielokrotnie miał ochotę powiedzieć jej, że czuje to samo. Wiele razy miał ochotę przyznać się, po co tu przyjechał.

Ale wtedy dowiedziałyby się, że świadomie oszukiwał ją od samego początku. Myślałaby o nim jeszcze gorzej niż teraz. A jemu zależało na jej opinii bardziej, niż powinno.

Zdażył już nieco poznać Val Bonnard i wiedział, że sprawy materialne nie są dla niej najważniejsze. W przeciwnym razie nie myślałaby o zachowaniu swego staroświeckiego domu, inwestowaniu w kolejne naprawy, malowaniu i sadzeniu kwiatów jaśminu przy ganku.

Najbardziej przemawiało do niego to, że zdecydowała się na pracę sprzątaczką. Wolałby nie patrzeć nawet na to, jak sprząta swój własny dom! Miała całe dłonie w bąblach i szramach, wdychała jakieś trujące opary ze środków chemicznych. Nie sądził, by posunęła się tak daleko w zacieraniu śladów, jeśli przyjąć, że jest winna.

Już tak nie myślał. Sądził, że Val po prostu wierzy w niewinność ojca i próbuje znaleźć dowody potwierdzające tę wiarę. A to oznaczałoby, że jest ofiarą tej afery tak samo jak Will.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mac stał, ponuro gapiąc się na białe satynowe pantofle domowe wystające spod sofy. Zastanawiał się, co właściwie go podkusiło, żeby bawić się w detektywa? Nie miał ku temu umiejętności ani odpowiednich cech charakteru. Nie to stulecie. I nie potrafi tego robić, gdy w grę wchodzi żywi ludzie, zwłaszcza tacy, na których mu zależy. Tacy, którzy noszą białe kapciuszki i rzucają nieśmiało przekleństwa pod nosem, czyszcząc kuchenkę.

Wkładając ostatnią teczkę do pudła, pomyślał o kolejnym piwie. Ale wypił już dwa, a był wystarczająco skołowany i bez alkoholu. Zresztą nigdy nie pił dużo, wiedząc, że nurkowanie i picie nie idą ze sobą w parze.

– Dobra, MacBride – mruknął pod nosem. – Spójrz na to tak: mała firma, kilku pracowników na krzyż i ktoś sfalszował księgi rachunkowe.

Najbardziej prawdopodobny kandydat, Sam Hutchinson, został prześwietlony na wylot i uwolniony od zarzutów. Kolejny podejrzany nie odpowie już przed żadnym ziemskim trybunałem, nawet jeśli zawinił. Jeśli Bonnard chciał uniknąć płacenia podatków, to mu się udało...

Po raz pierwszy Mac wziął pod uwagę Willa. Okazji nie brakowało. Co do motywacji, wystarczyło pomyśleć o Macy, która rzuciła Willa od razu, jak się połapała, że księgowy, którego nazwisko będzie choćby kojarzone z wielką aferą finansową, może sobie poszukać pracy w supermarkecie przy pakowaniu zakupów.

Will został księgowym na krótko przed ślubem z Macy, a potem pod jej naciskiem skończył prawo. Małomiasteczkowa piękność zawsze miała większe aspiracje niż jej mąż. Will pracował jako prawnik przez niecałe dwa lata i szczerze nienawidził tego zajęcia. Gdy nadarzyła się okazja pracy w

BFC, z szansą na awans, chętnie skorzystał z możliwości. Tak więc Will był potencjalnym kandydatem do głównej roli w aferze, ale Mac wiedział, że brat nie potrafi kłamać. Już jako dziecko, gdy próbował oszukiwać albo coś zataić, robił się od razu czerwony jak burak i w oczach zbierały mu się łzy. Tak więc trzeba powrócić do Bonnarda. A tym samym do Val.

Ale on nie chce, żeby była w to zamieszana! Chce, żeby mogła zbudować sobie nowe życie, na które nie pada cień przeszłości. I żeby znalazła w tym życiu miejsce dla pewnego nurka, archeologa morskiego, który w życiu kierował się intelektualną ciekawością, a nie ambicją.

No, nareszcie przyznał się do tego sam przed sobą. Przymknął oczy i rozważając różne możliwości niemal usnął, ale z drzemki wyrwał go trzask drzwi frontowych zwiastujący powrót Val.

– Wiesz, że znowu leje? – zawołała, wpadając do salonu. – Co za zwariowana pogoda... – urwała nagle na widok pudła z papierami stojącego obok fotela i dokumentów, które niezauważone zsunęły mu się z kolan i leżały na podłodze. – Co ty robisz, Mac? – spytała z niepokojem w głosie.

Mógł coś nakłamać albo wreszcie odetchnąć i wyznać prawdę.

– Mac? – powtórzyła. Była blada, zmęczona, warkocz miała na wpół rozpleciony, a ciemne kosmyki przyklejały jej się do twarzy.

– Jesteś cała mokra – oświadczył, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Samochód nie chciał mi zapalić. Zatrzymałam kogoś, kto pomógł mi go uruchomić. Mac, dlaczego grzebałeś w moich prywatnych papierach?

– Czy uwierzysz, jak powiem, że przymierzałem się do zbudowania ci szafki na dokumenty?

– Nie.

– Też tak myślę. Sam nie wiem, co powiedzieć.

– Najlepiej prawdę. – Zrzuciła ubłocone buty i weszła do pokoju. Zapadła się w sofę i owinęła rogami kołdry służącej za kapę. Była przemoknięta i zmarznięta.

– Dobrze. Rzeczywiście nazywam się MacBride, ale mój przyrodni brat nazywa się Will Jordan – rzucił i przerwał w oczekiwaniu na jej reakcję. Val jeszcze bardziej poblądła. – Czy zatrudniłabyś mnie, gdybym ci to powiedział na początku?

– Może — powiedziała z wahaniem. – Nie, chyba nie – dodała. – Ale dlaczego? Co tu w ogóle robisz? Przecież nie jesteś zwykłym robotnikiem, szukającym dorywczych prac.

Poczuł się jak ostatni śmieć. Pomyślał, że nic nie usprawiedliwia tego, co chciał zrobić.

– Dlaczego szperałeś w moich papierach? – spytała ponownie. Jej głos był zbyt cichy, zbyt opanowany.

– Bo Will nie jest oszustem, nie sprzeniewierzył tych pieniędzy – odparł po prostu.

Czekał na jej reakcję. Nie zdziwiłby się, gdyby wyrzuciła go za drzwi. Jej spojrzenie wskazywało, że rozważa taką możliwość.

– Skąd wiesz? – odezwała się wreszcie. – Nikt nie chce uwierzyć w to, że jego krewny dopuścił się jakiegoś przestępstwa.

– Po prostu wiem, Val – odparł z przekonaniem. – Ktokolwiek obrobił firmę twojego ojca, na pewno nie był to Will. Pieniądze wcale nie znaczą dla niego tak wiele, choć pomnażanie zysków należy do jego głównych zadań zawodowych. A właściwie należało, by teraz nie ma szans wrócić do zawodu.

Nie spuszczać z niego badawczego spojrzenia, powiedziała:

– Mój ojciec nie był złodziejem. Nie obchodzi mnie, co o nim mówią. Znałam go lepiej niż wszyscy i wiem, że był niezdolny do kłamstwa. Nigdy nie ukraść nic więcej poza pudełkiem zapalek. Pieniądze nigdy nie stanowiły dla niego motywacji do działania, a przynajmniej nie pieniądze, które chciałby mieć dla siebie.

Mac pomyślał, że powinna zastanowić się nad implikacją ostatniego zdania.

– Muszę uwierzyć ci na słowo. Nie znałem go
– powiedział.

Frank Bonnard mieszkał w luksusowej dzielnicy i jeździł klasycznym bentleyem, ale nie popisywał się forszą jak wielu innych mniej zarabiających facetów, choćby Will. Ale to była już sprawka Macy.

Kichnęła i pociągnęła nosem.

– Potrzebna mi chusteczka – powiedziała.
– Potrzebna ci kąpiel i coś dobrego do jedzenia.
– I gorąca herbata – dodała.

– Idź się wykapać i włóż coś suchego i ciepłego. Ja przygotuję herbatę, a potem pogadamy.

– Tak, i nie myśl, że łatwo się wykręcisz.

Wiedział to już od dawna. Patrząc, jak wychodzi, zostawiając mokre ślady na podłodze, pomyślał: Dlaczego nie okazałaś się taka, jak się spodziewałem – płytka, rozpuszczona i pazerna? Byłoby znacznie łatwiej.

W drodze na górę Val zdjęła mokre skarpetki i wrzuciła je do pralki. Gdyby była sama w domu, zrzuciłaby od razu całe ubranie. Co za koszmary dzień! Najpierw praca, a potem to...

Nie dość, że musiała walczyć z jakąś niezidentyfikowaną substancją rozlaną w zlewie, w której zaległy się robale, zmywać ślady po lepkiem

drinku z tapicerki i podłogi, męczyć się z samochodem, to jeszcze w domu czekała ją taka niespodzianka! Jak mógł ją tak oszukać, i to dwa razy! Jak mówi stare powiedzenie: oszukasz mnie raz – wstydz się, oszukasz mnie dwa razy, to ja się będę wstydzić.

Powinna się była domyślić. Jak mężczyzna zaczyna być czarujący, wiadomo, że czegoś chce. Zresztą Mac nie musiał się nawet specjalnie starać, pomyślała z goryczą. Była łatwym łupem.

Jak ją oczarował? Pijąc gorącą herbatę, której nie cierpiał, z trudem powstrzymując grymas niesmaku. Opowiadając jej fascynujące historie o dawnych szlakach wodnych i wczesnych osadach kolonizatorów, dzięki którym zapomniała, że bolą ją wszystkie kości i jest wykończona. Pokazując jej sznur lejących z szelestem kormoranów, rozśmieszając ją, choć wcale nie było jej do śmiechu. A do tego jeszcze wdrapywał się na jej zakurzony strych i wpełzał pod dom, robiąc te wszystkie rzeczy, o których nie miała pojęcia, w zamian za zaplamiony rdzą prysznic i wyboiste łóżko.

Zaniosła suche rzeczy do łazienki i puściła do wanny strumień gorącej wody. Potem wrzuciła do żółtawej wody garść pachnących soli i z rozkoszą zanurzyła się po szyję, przymykając oczy.

Gdy Mac usłyszał odgłos spływającej wody, nastawił czajnik z wodą i włączył opiekacz do grzanek. Następnie zanurkował w lodówce, by wyjąć ciastka czekoladowe, chleb, pastrami, ser, a z szafki zdjął różne przyprawy. Wtedy zauważył kartkę, którą jej zostawił pod solniczką. Odebrał telefon zaraz po jej odjeździe i obiecał, że powtórzy, kto dzwonił, ale zapomniał.

Val zjawiła się w wyszukanym różowym stroju, którego nie ośmieliłby się nazwać dressem, choć chyba to coś taką właśnie pełniło funkcję. Gdy usiadła, podał jej kartkę z informacją.

– Rozmawiałeś z nią? Czy wszystko u niej w porządku? – zapytała z przejęciem, gdy zobaczyła nazwisko. – Tak się martwiłam.

– Krótko. Pytała, gdzie jesteś, więc jej powiedziałem, że wyjechałaś na parę godzin. Potem zapytała, kim ja jestem, więc jej powiedziałem.

– Niby co? Że jesteś bratem Willa Jordana?

– Przyrodnim – uściślił i pokręcił głową. – Powiedziałem, że robię w domu różne naprawy.

– I tyle?

Wysunął taboret spod stołu i usiadł na nim.

– Słuchaj, możesz mi wierzyć lub nie, ale nie gustuję w oszukiwaniu ludzi. Nie opowiadam też obcym o swoich sprawach.

– Miss Mitty nie jest obca. Wiesz, że od dłuższego czasu próbowałam się z nią skontaktować.

– Wiem, że dzwoniłaś do niej wiele razy. I wiem, że pracowała kiedyś dla twego ojca. Zdaniem Willa Mitty Stoddard była plotkarą, która pilnowała Franka Bonnarda jak pies kości. Will przypuszczał, że sekretarka Bonnarda mogła przyspieszyć jej przejście na emeryturę, o ile wczesną emeryturą można nazwać zasłużony odpoczynek w wieku siedemdziesięciu dwóch lat.

Zostawiając napoczętą kanapkę, Val chwyciła kubek z herbatą i pospiesznie wyniosła się do drugiego pokoju. Mac słyszał, jak wystukuje numer, a potem wita się podekscytowana.

Wyszedł na ganek, by mogła swobodnie porozmawiać. Jeszcze nie upadł tak nisko, żeby podsłuchiwać.

I tak posunął się dość daleko.

Deszcz przeszedł w drobny kapuśniaczek, więc Mac poszedł zamknąć szopę, którą zostawił otwartą na oścież. W środku nie było nic

wartościowego, ale przynajmniej miał jakieś zajęcie. Potem sprawdził opony w obu samochodach. Pokręcił się jeszcze przez chwilę, po czym uznał, że dał jej wystarczająco dużo czasu na rozmowę, i wrócił do domu, głośno trzaskając drzwiami wejściowymi.

– Czy twoja przyjaciółka ma się dobrze? – spytał, wchodząc do kuchni.

– Teraz już tak. No, może nie do końca, w jej wieku... – odparła. Jej blade policzki zarumieniły się z przejęcia. Zdjęła z głowy turban z ręcznika i potrząsnęła głową, uwalniając włosy.

Nie chcąc jej ponaglać, wstawił wodę na herbatę. Czuł, że Val ma potrzebę rozmowy.

– Złamała kość biodrową. Dlatego tak długo nie mogłam się z nią skontaktować. Kiedy wyszła ze szpitala, poddawała się rehabilitacji w jakimś ośrodku. Nie odzywała się, bo nie chciała mnie martwić. Jej siostrzenica nie mogła do mnie zadzwonić, zapomniałam nawet spytać dlaczego. Zresztą i tak nie miałam przez ponad tydzień telefonu...

– Zrób sobie kanapkę. Musisz coś zjeść – przerwał potok jej szybkich słów. – Albo ja ci zrobię.

Przygotowała sobie kanapkę i pomiędzy kolejnymi kęsami opowiedziała mu o Miss Mitty, która była nie tylko asystentką i doradczynią ojca, ale stanowiła w jej życiu osobę równie ważną jak Belinda, której zawdzięczała wsparcie w trudnych chwilach dojrzewania i wprowadzenie w dorosłość.

– Wiesz, jakoś nigdy wcześniej o tym nie myślałam, ale teraz dochodzę do wniosku, że Belinda i Miss Mitty nigdy za sobą nie przepadały. Kochały nas – mnie i ojca – więc starały się ukrywać wzajemną urazę.

Pokiwał głową, a gdy woda w czajniku się zagotowała, przygotował Val świeżą herbatę.

– Obawiałam się, że Miss Mitty nie wie jeszcze o ojcu i to ja będę jej musiała o wszystkim powiedzieć, ale ona śledzi wszystkie wiadomości w internecie. Obsługuje komputer sprawniej ode mnie, to niesamowite. Teraz dzieci rodzą się już podłączone do internetu, ale żeby starsza pani... – Nalała do herbaty mleka i osłodziła ją. – Szkoda, że jej kości nie są równie elastyczne jak umysł.

Jeszcze przez chwilę rozmawiali, ale widać było, że jest wykończona.

– Zostaw wszystko, pozmywam – powiedział. – Idź spać albo odpocznij w salonie.

– O, nie – mruknęła, z trudem opanowując ziewanie. – Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Musimy pogadać o tym, dlaczego węszyłeś w moich papierach.

– Czy moglibyśmy nie używać terminu „węszyć”? Oparła się o blat stołu i wpatrzyła w niego pytającym wzrokiem.

– Okej, szukałem tego samego co ty – rzucił prosto z mostu. – Dowodu na to, kto sfalszował księgi rachunkowe w firmie twego ojca.

– Ojciec tego nie zrobił – powiedziała.

– Will też nie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Gdy Mac zaczął myśleć o czymś bardzo odległym od problemów firmy Bonnarda, wstał pośpiesznie i włożył naczynia do zlewu.

– Skoro mamy porozmawiać, musisz usiąść wygodnie – powiedział, puszczając wodę, by szybko uporać się z kilkoma naczyniami. – Nawet jeśli nie chcesz tego przyznać, lecis z nóg.

Tym razem nie udało jej się powstrzymać ziewania. Wstała i ruszyła do salonu, a po chwili usłyszała, jak z westchnieniem opada na sofę.

– No dobra, porozmawiajmy – powiedział, wchodząc do salonu. – Jak już powiedziałem, szukam tego samego, co ty. Może połączymy siły?

Zamiast odpowiedzieć, przymknęła oczy i syknęła z bólu.

– Co się stało? – spytał.

– Skurcz – syknęła przez zaciśnięte zęby. Zanim zdążyła się podnieść, podszedł szybko do sofy.

– Gdzie? Łydka? Prawa czy lewa?

– Prawa stopa.

Szybko zdjął jej but, przygiął palce, a potem zaczął rozmasowywać całą podeszwę stopy. Przymknawszy oczy, położyła się na kanapie i cicho pojękiwała, ale nie wiedział, czy z rozkoszy, czy z bólu.

– Już przeszło – szepnęła po chwili.

– Co następne? – spytał, trzymając dłonie w górze jak chirurg przed operacją.

Popatrzyła na niego, a w jej oczach błysnął na chwilę uśmiech.

– Nie trzeba. Naprawdę musimy porozmawiać – powiedziała cicho.

– Możemy to zrobić jutro. Powiedz, gdzie jeszcze cię boli.

– Jutro muszę iść do pracy – westchnęła.

– Valerie, nie możesz jutro zaszuwać tak jak dziś, skoro masz wszędzie zakwasy.

Zamiast odpowiedzi przekręciła się na brzuch i wskazała ramię. Tylko takiego zaproszenia potrzebował.

Val pozwoliła z przyjemnością rozmasować sobie ramiona i nie zaprotestowała, gdy cudowny dotyk przesunął się niżej. Westchnęła.

Właściwie można powiedzieć, że doszli do porozumienia. I rzeczywiście miało to sens. We dwoje na pewno będzie im łatwiej dotrzeć do prawdy.

– Masz rację. Musimy działać razem – mruknęła. – Co dwie głowy, to nie jedna.

Nie przerywał masażu, jego palce powoli zataczały koła na jej zeszywniałych ramionach. Gdy nagle się pochylił, poczuła ciepło oddechu na szyi. Potem jego usta na karku. Potem nagle się cofnął, potrącił stolik do kawy, a jedna z tacek zsunęła się na podłogę. Żadne z nich nie zwróciło na to uwagi. Gdy pochwycił ją w ramiona, Val zaprotestowała cicho, ale oboje wiedzieli, że to się musi stać. Marzyła o tym od chwili pocałunku na plaży, nawet jeśli było to bez sensu. Tak jak całe jej obecne życie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mac chciał zanieść ją na górę, ale Val uparła się, że pójdzie sama. Ponieważ schody były wąskie, przepychali się na nich objęci, uderzając biodrem o biodro. Nie miała na sobie stanika – na dobrą sprawę nie był jej nigdy potrzebny – i czuła, jak miękka tkanina drażni pobudzone piersi. Nie mogła się doczekać, kiedy zedrze z siebie ubranie i poczuje na skórze jego ręce, usta...

Miała podwójne łóżko, a materac był w nieco lepszym stanie niż jego, ale oddałyby mu się teraz nawet na zapiaszczonej podłodze.

Sięgnęła do kontaktu w sypialni, ale zatrzymał jej rękę, zapalił światło na korytarzu i zostawił drzwi uchylone. Wcale jej to nie przeszkadzało. Nie wyglądała jak dziewczyna z rozkładówki „Playboya”.

Choć miała już za sobą pewne doświadczenia, poczuła się nagle onieśmielona. W przeciwieństwie do wymuskanego gogusia, którego omal nie poślubiła, i żigolaka z klubu tenisowego, z którym miała krótki romans, Mac był prawdziwym mężczyzną w każdym sensie tego słowa. A jeśli będzie rozczarowany? Chyba umrze, jeśli spojrzy na jej mały biust i powie: „A gdzie mięsko?” Tripp tak kiedyś powiedział, a potem wybuchnął śmiechem i powiedział, że tylko się z nią drażni. Naprawdę bardzo to lubił.

– Val? Jeszcze nie jest za późno... – powiedział Mac, ale wiedziała, że za późno było już wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy na swym podwórzu.

– Wiem – odparła cierpko. Nie potrafiła zdobyć się na żaden uwodzicielski gest.

Sięgając do sznurka przy dresowych spodniach, spojrzała na niego pytająco. Mac nie odrywając oczu od jej twarzy ściągnął buty i rozpiął

rozporek. Nie nosił paska. Ty pierwsza, mówiły jego jasnobrażowe oczy. Odważnym ruchem zdjęła spodnie i obciągnęła odruchowo dół różowej bluzy od dresu. Trudno, jeśli lubi biuściaste, to się rozczaruje, pomyślała.

Sądząc po sposobie, w jaki zdjął spodnie, które rzucił na krzesło, i bluzę, którą ściągnął przez głowę, nie wiedział, co znaczy pewność siebie.

– Val? Jeśli zmieniłaś zdanie, po prostu powiedz... – szepnął. – Ale nie każ mi dłużej czekać.

Gorączkowo zaprzeczyła ruchem głowy. Też coś! Ma trzydzieści lat, a zachowuje się, jakby nigdy wcześniej tego nie robiła! Szybko rozebrała się do końca i stanęła nago naprzeciw niego. Stał bez ruchu i patrzył na nią w półmroku.

– Zrobimy to czy nie? – spytała w końcu, a to bezpośrednie pytanie przełamało napięcie. Zaśmiał się niepewnie, objął ją i przyciągnął do siebie. Położyli się na łóżku.

– Jesteś taka delikatna – szepnął, pieszcząc jej piersi. – Ale na twoje szczęście potrafię obchodzić się z pięknymi, bezcennymi, kruchymi skarbami...

Były to ostatnie słowa, jakie padły między nimi. Ręce Maca zaczęły błądzić po jej ciele, w poszukiwaniu miejsc najbardziej czułych na pieszczoty, a ona poddała im się z rozkoszą...

To tylko seks, myślała potem, leżąc obok niego. Wszyscy to robią. Za wszelką cenę chciała przekonać samą siebie, że niedawne namiętne zbliżenie nie znaczyło dla niej więcej niż dla niego.

Znów przylgnął do niej całym ciałem. Przez chwilę chciała ulec pierwszemu impulsowi, ale rozsądek zwyciężył.

– Jest bardzo miło, ale muszę się trochę przespać – wymamrotała sennie. – Rano jadę do pracy.

Wytrzeszczył na nią oczy, jakby nie dowierzał własnym uszom. Sama nie mogła uwierzyć, że powiedziała coś takiego. Zresztą nie była to prawda. Jednak gdyby zrobili to jeszcze raz, a potem może jeszcze raz, mógłby zasnąć w jej łóżku. A wtedy może już nie pozwoliłaby mu odejść. Zbyt słabi, by dotrzeć do kuchni, umarliby wreszcie z głodu. W jakiś czas potem Marion wysłałaby kogoś, by sprawdził, co się z nią dzieje, a ten ktoś znalazłby w skotłowanej pościeli dwa przytulone szkielety.

Ostrożnie odsunęła się od niego i ułożyła z westchnieniem na boku, udając, że zasypia. Gdy poczuła, że Mac wstał z łóżka, otworzyła jedno oko, by zerknąć na niego. Był wspaniały!

– Przynieść ci budzik? – spytał cicho.

– Nie, dzięki – odpowiedziała, patrząc, jak zbiera swoje rzeczy i wychodzi. Gdy był w połowie schodów, zawołała za nim: – Albo tak. Postaw na komodzie. Dzięki.

Mac przez długą chwilę stał pod prysznicem, poddając się chłodnej strudze wody. Potem zakręcił wodę i wytarł się, nadal fantazjując o ciele pewnej smukłej kobiety.

Budzik znalazł w kuchni. Był nastawiony na siódmą. Nie zmieniając godziny, wrócił na górę. Gdy wszedł do sypialni, Val udawała, że śpi. Zostawił budzik i wyszedł. Rano musi mieć jasny umysł. Była dopiero dziesiąta. Mógł przejrzeć jeszcze trochę z tych cholernych dokumentów, bo Val pewnie nie zjawi się przed świtem. Ale nie mógłby tego zrobić, czułby, że ją oszukuje.

– Ale wpadłeś, MacBride – mruknął do siebie. Sprawdził, czy drzwi wejściowe są zamknięte, a potem udał się na tyły domu. Jak ty możesz spać, to ja też, pomyślał ponuro.

Val otworzyła oczy chwilę przed dzwonkiem budzika i przez chwilę leżała bez ruchu, myśląc o enigmatycznych zapiskach znalezionych w dokumentach ojca. Inicjały, numery, sumy, na pozór nic nieznaczące słowa. Jeśli to był jakiś szyfr, ojciec powinien jej powiedzieć, jak go złamać.

Pod prysznicem myślała o Macu, wyobrażając sobie jego nagie ciało pod strugami wody na dole.

– Przestań, przestań! – mruknęła do siebie, wychodząc spod prysznica i energicznie osuszając włosy ręcznikiem.

Zanim zabierze się ponownie do czytania dokumentów, musi wysprzątać jeszcze dwa domy. Jeden musi być przygotowany dziś rano, drugi może poczekać, bo jeszcze nie jest zarezerwowany, ale właściwie lepiej, jak załatwi wszystko dziś. Potrzebowała pieniędzy, a poza tym nie lubiła, jak coś wisiało jej nad głową. Miała wystarczająco dużo spraw do przemyślenia.

Przy śniadaniu, które Mac przygotował dla niej dwadzieścia minut później, oświadczył, że pomoże jej w pracy.

– Wczoraj ustaliliśmy, że przegryziemy się wspólnie przez dokumentację – przypomniał. – To samo dotyczy sprzątanania. Razem szybko załatwimy sprawę i wrócimy tutaj.

– Dobrze – zgodziła się z ociąganiem, bo liczyła na to, że będzie miała kilka godzin na opanowanie swoich wzburzonych emocji. – Podzielę się z tobą forszą.

Usiadł za kierownicą, więc wyjęła mapkę, którą dostała od Marion, i nakierowała go na wąską uliczkę, na której końcu stały dwa wielkie domy. Był mały ruch. Minęli jeden samochód i dwie ciężarówki, z których jedna wiozła ogromną łódź.

– Słuchaj, jeśli chodzi o wczorajszą noc... – zaczął Mac, gdy już prawie dojeżdżali na miejsce.

– Nie chcę o tym mówić. Stało się, skończyło, zapomnijmy o tym – ucieła. – To ten z białym obramowaniem okien – wskazała dom.

Dość szybko uporali się z pracą. Mac zamiótł, odkurzył albo wymył mopem podłogi w całym domu, Val posprzątała łazienki. Były cztery, a pokoi tylko trzy. Mieszkając ten krótki czas w domu babci, zrozumiała jedno: jakość życia ma niewiele wspólnego z jego standardem.

– Jak myślisz, dlaczego ludzie zostawiają w pojemniku na warzywa kosmetyki, a w koszu na śmieci pełno martwych ostryg? – spytała, gdy kilka godzin później podjechali pod jej dom. – Czy powinnam wziąć od Marion adres i odesłać tej kobiecie kosmetyki?

– Nie, powinnaś wyrzucić kosmetyki, a wysłać jej te ostrygi.

Parsknęła śmiechem i otworzyła drzwi.

– Usiądź sobie, przygotuję dla nas coś do zjedzenia – powiedział Mac, gdy weszli do środka.

– Nie rozpuszczaj mnie – westchnęła, opadając ze znużeniem na krzesło.

– A ty mnie nie kuś – rzucił z uśmiechem.

W kilka minut później kanapki były gotowe i Val poszła za Makiem do salonu. On niósł tacę, a ona papierowe serwetki.

Wydawało jej się to bardzo wyrafinowane, że taki facet jak Mac przygotowuje jej jedzenie.

– Myślałem o tych zapiskach twego ojca – powiedział, pochłonawszy trzema kęsami połowę kanapki. – W zestawieniu z różnymi cyframi i zapiskami pojawia się inicjał M. L. Wiesz, kto to może być?

– Nie mam pojęcia.

Mac przyglądał się Val, kiedy jadła. Jak na damę, która wiedziała zapewne, do czego służy zastawa z sześcioma widelcami, miała całkiem zdrowy apetyt. W łóżku zresztą też... Unikała jego wzroku i Mac pomyślał, że być może Val tak jak on przypomina sobie teraz różne szczegóły poprzedniego wieczoru. Gdy skończyła jeść, szybko zebrał talerze, a gdy wrócił z kuchni, niosąc kawę dla siebie i herbatę dla Val, od razu przeszedł do rzeczy, by rozproszyć erotyczny nastrój.

– M pasuje do Mitty.

– Tak, ale to jest M. L., nie M. S. Ona nazywa się Matilda Stoddard. Zresztą, nie ma sensu brać jej pod uwagę, bo znaleźliśmy ją od zawsze. Przynajmniej od połowy lat osiemdziesiątych.

– Każdy zna kogoś – rzucił filozoficznie. Mimo swej inteligencji Val była jego zdaniem straszliwie naiwna. – A ten księgowy, który odszedł, jakie miał inicjały?

– Miała. P. T. Też o niej myślałam, ale takich inicjałów nie spotkałam w papierach ani razu.

Przypominali sobie wszystkich pracowników, ale żaden nie nosił inicjałów M. L.

– Wracamy do punktu wyjścia – westchnął Mac po chwili. – Wiemy jedno: inicjały M. L. pojawiają się w notatkach bardzo często. Przejrzyjmy jeszcze raz papiery i zanalizujmy kontekst. – Rozłożył zawartość trzech teczek na stoliku. – A ta twoja przyjaciółka gdzie się wyprowadziła z Greenwich?

– Miss Mitty? Do Monroe w Georgii. Ma tam siostrzenicę – odparła niechętnie Val.

– Wiesz, jak się nazywa?

– Brown. Rebecca Brown. Mam jej telefon. Przez kolejnych kilka godzin przeglądali papiery strona po stronie, analizując kontekst notatek wypisanych turkusowym atramentem na marginesach różnych dokumentów. Po dwunastym ziewnięciu Val Mac był niemal pewien, dokąd prowadzą ślady. Teraz musiał tylko znaleźć konkretny dowód, bo same podejrzania to za mało.

– Dobra, na dziś wystarczy – powiedział w końcu. – Chodźmy spać.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Żadne z nich nie udawało, że wylądują zaraz razem w łóżku. To, co zdarzyło się wcześniej, było może niezaplanowane, ale Val skłamałaby mówiąc, że o tym nie marzyła i że nie chciała, żeby to się stało znowu... i znowu.

– Naprawiłem ci to sitko w prysznicu, jak prosiłaś – powiedział Mac. – Zawołaj, jak będziesz potrzebowała pomocy. – Zatrzymał się przy drzwiach do łazienki, oparł o ścianę i przyciągnął ją do siebie. Po długiej chwili niechętnie odkleiła się od niego.

– Możesz wygładzić prześcieradła – powiedziała. – Chyba nie słałam dziś łóżka – powiedziała, przeciągając się leniwie.

– Dobrze, proszę pani. Jeszcze jakieś polecenia? – spytał tonem lokaja, z błyskiem w oczach. Uwielbiała, jak się tak z nią drażnił.

– Połóż się po lewej stronie łóżka. Ja zawsze śpię po prawej.

– Kto tu mówi o spaniu? – Schylił się, by jeszcze raz ją pocałować, a potem otworzył drzwi łazienki.

Śmiejąc się, powiedziała:

– Przyjdę za pięć minut... Aha, Mac... bądź nagi.

Po tej nocy Val odkryła, z mieszanymi uczuciami, że jest głęboko, nieprzytomnie zakochana i wcale nie przypominało to jej poprzednich doświadczeń, które uważała za miłosne.

Ale uczucie nie oszołomiło jej na tyle, by zapomniała, po co tu przyjechała. Dziś mieli przyjrzeć się tym cholernym dokumentom choćby ze szkłem powiększającym w rękę, jeśli zajdzie taka potrzeba. Mac uparł się, że znajdzie dowód na niewinność brata, nawet jeśli pograży na zawsze jej ojca. Potem odjedzie. Misja zostanie zakończona.

– Ale co archeolog morski może wiedzieć o kryminologii? – spytała swe odbicie w łazienkowym lustrze. – Albo o księgowości? – twarz w lustrze uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć: tyle samo, ile magister historii sztuki.

Gdy Mac usłyszał szum prysznic, ubrał się i zszedł na dół. Przede wszystkim zamierzał zadzwonić do Shirley, swej przyjaciółki hackerki, a potem do kumpla, który kiedyś z nim nurkował, a teraz pracował w oddziale kryminalnym policji w Atlancie.

Wziął prysznic, ubrał się, załatwił oba telefony i właśnie podsmażał bekon, gdy w kuchni zjawiała się Val. Zauważył, że się umalowała i włożyła jeden z tych swoich strojów, który chyba miał uchodzić za niedbały – białe zamszowe spodnie, kaszmirowy sweterek i jedwabna bluzka. Włosy upięła w kok, a makijaż miała bardzo staranny.

Korciło go, by rzucić jakąś uwagę, ale się powstrzymał. Być może czuła się równie niepewnie jak on i chciała dodać sobie trochę odwagi, wkładając swój stary kostium.

– Chcesz jajecznicę? – spytał.

– Herbatę i tost – odparła, a gdy postawił jedzenie na stole, zaczęła podskubywać bekon z jego talerza, aż w końcu wstał i dał jej talerz i widelec.

– Pomóż mi, nasmażyłem jak dla całego plutonu wojska – powiedział.

Dokończyli w milczeniu śniadanie, a wtedy Mac powiedział:

– Zostaw talerze i chodź do salonu. Sądzę, że zbliżamy się do rozwiązania.

Po trzech kwadransach i połowie dzbanka kawy później drugi telefon bezsprzecznie potwierdził hipotezę Maca. Odłożył słuchawkę i siedział z

Val wśród rozłożonych teczek, patrząc w milczeniu na posortowane chronologicznie dokumenty.

Nie było mu łatwo jej to powiedzieć. Jednak dowody mówiły same za siebie. Pan Bonnard starannie prześledził całą sprawę i odkrył prawdę, ale nie zdążył jej zdradzić światu. Mac poszedł jego tropem. Do tej pory nie wiedział jeszcze tylko, kim jest Matilda Lyford, na której nazwisko natrafił wreszcie w papierach. Teraz już wiedział, kto krył się pod inicjałami M. L.

– No i co? – przerwała milczenie Val.

– Nie spodoba ci się to, co powiem – zaczął ostrożnie.

– Mac, przerażasz mnie.

Usiadł obok niej na sofie i powiedział:

– Matilda Lyford. Czy twoja przyjaciółka mówiła ci, że była zameżna?

Val wstrzymała oddech i wolno pokręciła głową.

– Miss Mitty? – szepnęła z niedowierzaniem.

– W osiemdziesiątym siódmym Matilda Stoddard poślubiła Vernona Lyforda. Pobrali się w Morganton w Wirginii Zachodniej, a małżeństwo trwało około trzech tygodni, Lyford wylądował w ciupie za fałszowanie czeków. Tymczasem Matilda przenosiła się stopniowo na północ. Najpierw pracowała przez osiemnaście miesięcy w banku w Cumberland, w Maryland, potem przez kilka miesięcy była recepcjonistką w firmie zajmującej się ubezpieczeniami medycznymi w Filadelfii. Gdy zjawiała się w Greenwich, zaczęła posługiwać się panięskim nazwiskiem, choć nie ma nigdzie potwierdzenia, że zmieniła je legalnie. Nie ma też dokumentów potwierdzających rozwód.

– Mitty Stoddard – szepnęła Val.

– Kochanie, obawiam się, że Miss Mitty wcale nie była taka, jaką udawała...

– Mac, wiem, że jej nie znasz, ale ona uosabiała ideał starszej pani. Siwe włosy, sznurowane buty, okulary w plastikowej oprawie, pastelowe sweterki... – Przełknęła głośno ślinę i pokręciła głową. – Nie mogę w to uwierzyć...

Mac objął ją ramieniem i ujął za szorstką, zaczerwienioną rękę. Kochał tę kobietę, wraz ze zniszczonymi od robót domowych rękami i rozmazanym tuszem do oczu.

– Twój ojciec wiedział. Zbierał dowody, ale nie zdążył ich ujawnić. Matilda Stoddard, czy jak tam siebie nazywała, zakładała rachunki na fikcyjne nazwiska i przerzucała pieniądze pomiędzy nimi. Niektóre skróty odpowiadają nazwom banków, a cyfry to numery rachunków. Była ostrożna, przelewała małe sumy, ale przez lata zgromadziła niezły majątek. Zwłaszcza przez te ostatnie.

– Tuż przed przejściem na emeryturę?

– Tak, działała śmielej, sądząc, że zanim się ktoś połapie, jej już tam nie będzie.

– Miała rację – westchnęła Val. – Pewnie wiesz, gdzie jest teraz?

– Na Florydzie. W luksusowym ośrodku dla emerytów. Eleganckie mieszkanie, aerobik wodny, cotygodniowe koncerty, wycieczki do Disneylandu i Oceanarium. Za co najmniej osiem tysięcy miesięcznie, zapowiadała jej się całkiem miła emeryturka. Zamiast tego...

– Możemy już o tym nie rozmawiać? – spytała zgnębiona Val.

– Tak, myślę, że nasza misja jest zakończona. Will zostanie oczyszczony z zarzutów, reputacja twego ojca uratowana. Gdyby nie ta afera, nigdy byśmy się nie spotkali... – dodał nagle.

– Trzeba wracać – powiedziała cicho, bawiąc się jego palcami.

– Gdzie? Do Greenwich? Do Mystic?

Przyklękła na sofie, przybliżając twarz do jego twarzy.

– Do miejsc, gdzie nigdy byśmy się nie spotkali? To chyba głupi pomysł.

Jeśli chodzi o zatopione statki i ukochaną kobietę, szybko się orientował, jaki pomysł jest dobry.

– Masz rację – powiedział.

– Udowodnij to.

I tak właśnie zrobił.

RS

EPILOG

Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że przyjechał. Usłyszała warkot starego land cruisera, który ledwie zipsał po jeździe po piasku na plaży.

Odwróciła się wolno i skierowała strumień wody na drugi krzak jaśminu. Miał teraz więcej światła, gdy Mac przerzedził nieco gałęzie dębu przed domem.

Poczuła na karku najpierw jego oddech, a potem usta.

– Nie powinnaś łązić w taki upał – upomniał. Upuściła szlauch i obróciła się, by mąż ją objął – co nie było już tak łatwe, jak parę tygodni temu.

– Jak poszło? – spytała, gdy ją wycalował.

– Na razie nic – odparł.

W wolnym czasie Mac i miejscowy historyk szukali śladów szkunera, który zaginął u wybrzeży wyspy przed ponad stu laty. Żaden z nich nie oczekiwał, że uda im się go odnaleźć, ale Mac dobrze się bawił.

– Jak zawsze optymista – powiedziała przekornie.

– Żebyś wiedziała. Zobacz, co dzięki temu mam.

Gdy Mac poszedł zakręcić wodę, Val pomyślała, że rzeczywiście wszystkie ich obawy okazały się płonne. To przypomniało jej, że dzwonił Will, i powiedziała o tym mężowi.

– Zarzekał się, że nie chce przeszkadzać, ale namówiłam go na przyjazd – powiedziała. – Może zająć pokój na tyłach.

Został odremontowany tak jak reszta domu.

– Umie malować sufity? – dodała.

Mac się roześmiał. Kończyli właśnie przygotowywać pokój dziecienny. Marion Kuvarky podarowała im wielki worek używanych ubranek dla dziecka i zaproponowała, że pomoże przy pracach wykończeniowych domu. Mac miał wrażenie, że jego brat przyrodni nieco się zdziwi, gdy machinacje Val wyjdą na jaw. Bardzo lubił agentkę nieruchomości, ale nie wiedział, czy biedny Will jest gotowy na nowy związek.

– Jesteś głodna? – spytał, prowadząc swoją poślubioną przed dziewięcioma miesiącami żonę do żółtego domu z ładnymi czarnymi okiennicami.

– Jak cholera.

Mac roześmiał się. Val odkryła w sobie różne nowe talenty, ale nie należało do nich gotowanie, więc jak dawniej przyrządzał wszystkie posiłki.

– Damy nie używają takich słów – orzekł, gdy weszli do środka.

– Zgadnij, czego jeszcze nie robią? – spytała z szelmowskim uśmiechem.

– Aż się boję zapytać – uśmiechnął się Mac, wieszając czapkę z daszkiem na drewnianym stojącym wieszaku, który Val wyszperała w miejscowym sklepie ze starociami.

– Chodź na górę, to ci pokażę – powiedziała.

Wchodząc za nią po schodach i patrząc na kołyszące się biodra Val, pomyślał o morskich syrenach.

Kolacja mogła zaczekać...